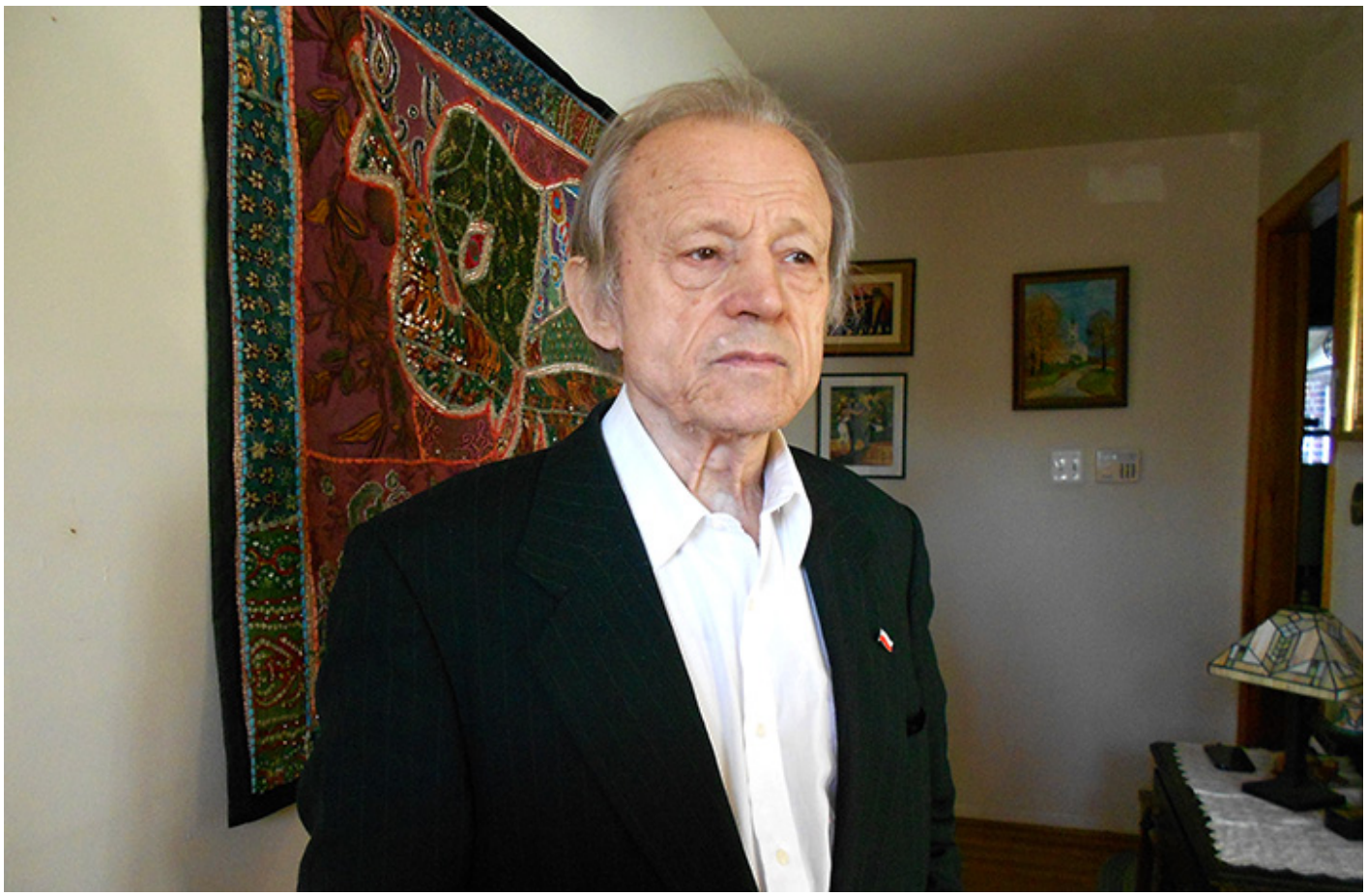
Artysta i poeta. Tadeusz Turkowski.

Wspomnienie



Tadeusz Turkowski w Wilmington, Delaware, fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*

Z Tadeuszem byłam głównie w kontakcie telefonicznym, czasami pisywaliśmy maile.

> Dziękuję za chwilę nieskończonej rozmowy dwa dni temu na Academy Road. Mam nadzieję, że będzie możliwe żebyśmy mogli się spotkać na trochę dłużej, żeby porozmawiać. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że nie zakłócam Pani spokoju. Może by to było możliwe jeszcze przed Pani wyjazdem do Polski.
>
> Pozdrawiam
>
> Tadeusz Turkowski

> Pani Olu!!!
>
> Jak się Pani czuje na tydzien przed odjazdem? Czy koty już wiedzą co ich czeka? Czy ma Pani juz zorganizowany dojazd na lotnisko? Skąd Pani odlatuje i czy Pani potrzebuje jakiejkolwiek pomocy?
>
> Pozdrawiam TT

Miłym wspólnym tematem były koty.

> Tadeuszu, kotek Sopelek rano się pojawił, siedział na parapecie okna.
> Otworzyłam drzwi, trochę zjadł, nie jest wygłodzony. Obszedł cały dom,
> otworzyłam drzwi do ogrodu – dałam mu kolejną porcję w ogrodzie.
>
> Część zjadł, część zostawił. Siedzi w ogrodzie i patrzy się na drzwi…

Odpowiedział:

> Olu -To dobra wiadomość.
>
> Stało sie tak jak przypuszczałem i wspomniałem w jednej z naszych rozmów.
>
> Widocznie doszedł do wniosku, że mu nigdzie nie będzie lepiej jak u Ciebie. Zadzwonię trochę później. TT

***

Tadeusz Turkowski miał piękny artystyczny życiorys – związany był między innymi z kabaretem „Hybrydy” w Warszawie. Przysłał swój biogram (jest na „Culture Avenue”):

Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego teatru “Hybrydy” w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostalą występował w pierwszym programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego “Radosna Gęba Stabilizacji” (1962) i “Ludzie to Kupią” (1963)). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział w programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były to najlepsze lata kabaretu „Hybrydy”.

W czasie 12-letniej współpracy z teatrem „Hybrydy” Tadeusz Turkowski udzielał się również w licznych programach poetycko-muzycznych. Przyjaźnił się z wieloma młodymi poetami: Edwardem Stachurą, Zbigniewem Jerzyną, Barbarą Sadowską, recytując ich wiersze na spotkaniach autorskich.

W latach 1963 -1965 brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Rouen we Francji i na Festiwalu w

Istambule w Turcji.

Po siedmiu latach kierowania teatrem Jan Pietrzak odszedł z „Hybryd” i założył kabaret ”Pod Egidą” z profesjonalnymi aktorami (m.in. Wojciech Siemion, Barbara Kraftówna, Kazimierz Rudzki). Tadeusz Turkowski odziedziczył po nim funkcję kierownika teatru, którą pełnił aż do chwili wyjazdu z Polski w 1973 roku.

Teatr „Hybrydy,” jak sam twierdzi, był wielką przygodą w jego życiu. Równolegle studiował na wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1966 roku.

Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracując w zawodzie jako inżynier, nigdy nie zerwał kontaktu z ukochanym językiem polskim i polską poezją. Od 40-u lat recytował polskie wiersze dla Polaków mieszkających w Ameryce. Uczestniczył w ponad 50-ciu różnego rodzaju spotkaniach i wieczorach poetycko-muzycznych. Występował w Polskich Fundacjach Kulturalnych, u Weteranów, w polskich klubach, kościołach, szkołach i w domach prywatnych. Występował również w Polonijnych Kabaretonach na Brooklinie organizowanych przez redaktora Janusza Szlechtę z „Nowego Dziennika”, między innymi z wybitnym muzykiem saksofonistą Krzysztofem Medyną.”

***

Szkoda, że nie miałam okazji wysłuchania Go w Salonach Artystycznych organizowanych w *Druch Studio Gallery* w Trenton, New Jersey. Natomiast wysłuchałam jego deklamacji wierszy w 100-lecie *Polskiego Uniwersytetu Ludowego (PUL*), które to uroczystości odbywały się w Domu Polskim przy Academy Road w Filadelfii w trzecią niedzielę marca 2019 roku.

Chyba byłam jedyną – lub jedną z niewielu osób, której się zwierzył, że sam także pisał wiersze. Przysłał mi kilka, przeczytałam i bardzo mi się spodobały. Dużo przy nich pracował, udoskonalał. Kilka wydrukowanych zostało w „Culture Avenue", internetowym piśmie poświęconym kulturze polskiej poza krajem. Prowadzi je Joanna Sokołowska-Gwizdka, autorka m.in. książki o Helenie Modrzejewskiej.

Wiersze, które czyta Tadeusz, są na internetowym *You Tube*. Nagrał je Tomasz Masłowski.

Wiersze Tadeusza Turkowskiego są przejmujące i piękne. Ładnie o nich napisała Marta Jóźwiak z Nowego Jorku (za pozwoleniem przytaczam jej opinię).

> Wiersz Tadeusza Turkowskiego „Śmierć ziemi" jest

> niezwykle poruszający. Przypomina w wymowie katastroficzne hymny Jana Kasprowicza. Jest jednak różnica. Tutaj autor nie oskarża Boga, inaczej – nie wadzi się z Bogiem, ale oskarża człowieka, niszczyciela Matki Ziemi. Co więcej, pokazuje człowieka w szerszym negatywnym świetle. Współczesny człowiek wcale nie brzmi dumnie. Ale jest w tym wierszu coś pięknego – sakralizacja i personifikacja natury – drzewa jako symbolu życia (…).

> Bardzo intrygujące są te wiersze i ten skierowany do kolegów i przyjaciół, podsumowanie i rozliczenie się z życiem artystycznym.
>
> Barokowe, ale jakże proste w formie są jego erotyki, pełne marzeń i wspomnień. Paralelne powtórzenia (anafory) *„Chciałbym”, „Z powrotem”* podkreślają siłę tych uczuć, które pozostają tylko pragnieniami.
>
> (Marta Jóźwiak, Nowy Jork)

***

Gdy wiersz „Pogrzeb ziemi” został umieszczony w „Culture Avenue” przed Wielkanocą 2019 r. napisał do Joanny

Sokołowskiej-Gwizdka:

> Szanowna Pani Joanno
>
> Dziękuję. Właśnie przed chwilą przeczytałem wiersz i prawdę mówiąc, zaniemowiłem. Forma w jakiej go Pani opublikowała jest absolutnie reewelacyjna.. Delikatne przerwy między zwrotkami, rodzaj pisma, nadają temu wierszowi wyjątkowo subtelne i jednocześnie dostojne znaczenie. To, że został opublikowany odzielnie i ~~tylko~~ dzisiaj przed Świętami było bardzo ważne. Dzięki Pani i Oli dzisiejszy dzień jest dla mnie wyjątkowym dniem w moim życiu. Dziękuje i pozdrawiam.
>
> Tadeusz Turkowski.

***

Tadeusz miał czarną kotkę, która się okociła. Opowiadał o kociętach z wielką radością. Gdy podrosły, przekazał je do schroniska do adopcji.

Po nagłej śmierci Tadeusza… Jego kotka kilka dni była sama w domu, bez jedzenia. Telefonowałam do schroniska i na policję. Pomogli także przyjaciele Tadeusza – Joanna i Krzysztof Lada,

wspólnie spędzali święta. Kotka została zabrana do schroniska w Trenton, NJ, gdzie oczekuje na adopcję.

Urodzony 16 czerwca 1937 roku – zmarł w lutym 2021 roku w Trenton, New Jersey. Nie znamy dokładnej daty. Zmarł w samotności.

***

Żal mi jego niepokazanych, nieukończonych, a także tych jeszcze nienapisanych wierszy, bo wierzę, że napisałby ich wiele.

> **Tadeusz Turkowski**
>
> **Z POWROTEM**
>
> Z powrotem będzie dużo łatwiej
>
> Z powrotem będzie z górki z wiatrem
>
> *
>
> Z powrotem się nie musisz martwić
>
> Że sił ci może nie wystarczy

*

Że mi zasłabniesz gdzieś po drodze

Pełnej wybojów niepowodzeń

*

Z powrotem jeśli trzeba będzie

Zmęczoną wezmę cię na ręce

*

I ostrożniutko pod twą głowę

Podłożę chmurkę kolorową

*

Z powrotem nigdy, nigdy więcej

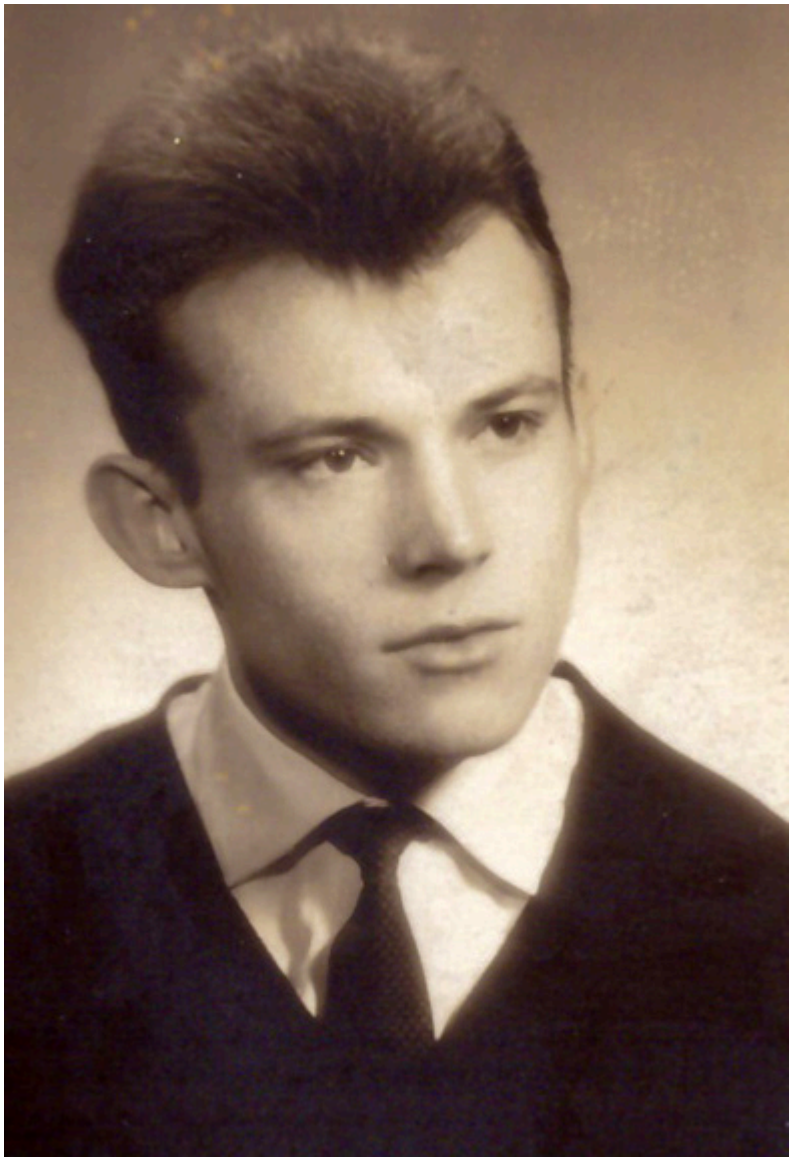
Nie zrani twego moje serce

*

> Z powrotem zawsze, nawet we śnie
>
> Ogrzeje w moich twoje ręce
>
> *
>
> Mądrzejszy, choć mniej zdarny trochę
>
> Nie spuszczę z oka Cię z powrotem
>
> *
>
> I serce moje rozszalałe
>
> Bić będzie cicho, albo wcale.

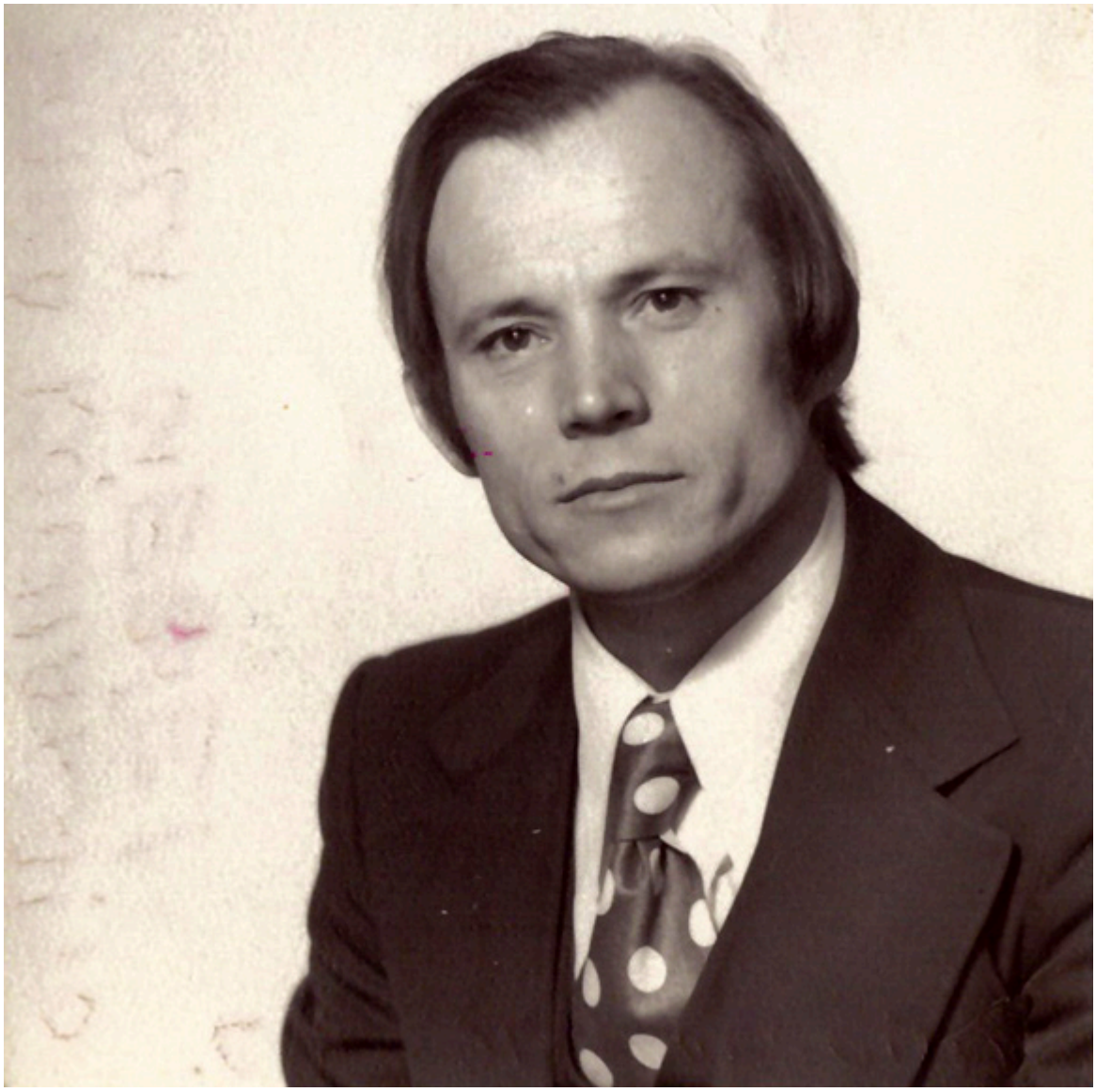
Tadeusz Turkowski (1937-2021)

Fotografie pochodzą z archiwum rodziny Turkowskich

- 

- 















Wiersze Tadeusza Turkowskiego opublikowane w magazynie „Culture Avenue”:

> Wiersz „Pogrzeb ziemi”

> Zaduszki i inne wiersze

Czy Sopot stanie się na powrót „Bayreuth Północy”?

Z Tomaszem Koniecznym rozmawia Jolanta Łada-Zielke



Tomasz Konieczny, fot. Igor Omułecki

Tomasz Konieczny, światowej sławy śpiewak operowy bas-baryton jest odtwórcą największych ról wagnerowskich. Polscy melomani pamiętają zwłaszcza jego kreację Janusza w „Halce” w Theater an der Wien w 2019 roku. Artysta realizuje obecnie swój autorski projekt: Baltic Opera Festival, planowany na okres od 19-26 lipca 2021 r. w Operze Leśnej w Sopocie i w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku. Impreza nawiązuje do Festiwalu, jaki odbywał się w tym miejscu w latach 1909-44, podczas którego

wystawiano głównie opery Ryszarda Wagnera. Dlatego ówcześni melomani nazywali Sopot *Bayreuth des Nordens – Bayreuth Północy.*

W czasie obchodów stulecia Opery Leśnej w 2009 roku pokazano tam wówczas „Złoto Renu" Ryszarda Wagnera, w którym śpiewałeś partię Alberyka. Czy wtedy zrodził się pomysł reaktywowania festiwalu?

Próby wznowienia festiwalu podejmowano już wcześniej. Chciał tego dokonać między innymi wnuk Ryszarda Wagnera, Wolfgang, kierownik artystyczny *Bayreuther Festspiele*. Ale w latach powojennych w Polsce było to niemożliwe. W 1985 roku Teatr Wielki z Łodzi wystawił w Operze Leśnej „Walkirię", a w roku 2000 Opera Bałtycka pokazała „Tannhäusera". Ludzie mieli więc świadomość, że to miejsce jest związane z tradycją wagnerowską, którą można w jakiś sposób kontynuować. Samo wystawienie „Złota Renu" w 2009 roku odbyło się z inicjatywy maestro Jana Lathama Koeniga, dyrygenta pochodzenia żydowskiego, który urodził się w Trójmieście. Oprócz mnie brał w nim udział Daniel Kotliński jako Donner, który też okazał zainteresowanie tematem. Ja wtedy nie mogłem się tym zająć, bo miałem inne plany. W kolejnych latach śpiewałem na festiwalach w Salzburgu i w Bayreuth. Aż nadszedł pandemiczny rok 2020, tak ciężki dla kultury. Postanowiłem wraz z grupą „zapaleńców" przeprowadzić ten projekt, również po to, żeby dać możliwość

zatrudnienia choć części pracowników branży artystycznej.

Kto wspiera wasze działania?

Wielu polityków i dyplomatów, polskich i niemieckich. Mamy już patronat Prezydenta RP, Doktora Andrzeja Dudy. Także Katharina Wagner, prawnuczka kompozytora, jest członkinią Komitetu Honorowego Festiwalu.

Wielką zaletą Opery Leśnej była i jest jej akustyka.

To właśnie las daje tak wspaniałą akustykę, bo drzewa wpływają na lepsze rozchodzenie się dźwięku w przestrzeni. Teraz, po generalnym remoncie Opery Leśnej, jej kopułowe zadaszenie rozciąga się nad całą sceną, co jeszcze bardziej wzmacnia ten rezonans. Zasłanianie tego lasu dekoracjami podczas festiwalu muzyki rozrywkowej jest niewłaściwym rozwiązaniem, bo osłabia jego potencjał.

We wspomnieniach śpiewaków, którzy brali udział w pierwszych edycjach Festiwalu czytamy, że początkowo obawiali się, czy odgłosy lasu nie będą zakłócać ich występu. Ale już po pierwszych próbach byli zachwyceni. Lily Hafgren-Dinkela opowiada, jak podczas próby generalnej „Walkirii” w pewnym momencie złotoskrzydła ważka usiadła jej na dekolcie i twierdzi, że żaden inny teatr

nie mógłby jej dostarczyć takich wrażeń.

Festspielhaus w Bayreuth może nawet dziś dostarczyć podobnych wrażeń. W trakcie jednego z przedstawień „Lohengrina" w 2018 roku, nad sceną fruwały nietoperze, które, jak się okazało, zamieszkały pod dachem teatru. Nic dziwnego, budynek drewniany, bez klimatyzacji. Ale co do Opery Leśnej, to były wzmianki w ówczesnej prasie, że ptaki śpiewały razem z Brunhildą. Na tym polega właśnie urok takich miejsc.

W programie pierwszej edycji festiwalu znajduje się „Holender tułacz" Wagnera, którego reżyserujesz i śpiewasz tam tytułową partię. Ostatni raz wystawiano go w Operze Leśnej w czasie wojny, w latach 1940-41. Dlaczego taki wybór?

Zadecydowały o tym względy praktyczne. W 2023 roku występuję jako Holender w *Metropolitan Opera* w Nowym Jorku, więc chciałbym przedtem „ośpiewać" tę partię na różnych scenach. Latem 2020 roku wykonywałem ją na festiwalu Operowym w Mikulovie *(Weinviertel Festspiele)*, będę śpiewać ją jeszcze w Operze *Bastille* i w kilku innych miejscach. Po drugie, ta opera trwa stosunkowo krótko, nadaje się więc na pierwszą edycję festiwalu, żeby stopniowo wprowadzać publiczność w świat dzieł Wagnera. Poza tym doskonale sprawdzi się w nadmorskiej miejscowości, w leśnej scenerii i pod dachem, który

przypomina wyglądem wielki żagiel. Warunki akustyczne są dla niej idealne. Drugą operą wystawianą w ramach festiwalu będzie *„Czarodziejski flet”* Mozarta, która zostanie zaprezentowana też we wrześniu, na festiwalu *Mozart im Chiemgau*, w tamtejszej obsadzie.

Warunki panujące w Operze Leśnej były idealne dla „Pierścienia Nibelunga”, toteż przed wojną wystawiano go tam najczęściej. Początkowo tylko trzy części, bez „Złota Renu”, bo reżyser Hermann Merz nie miał na to pomysłu. Ale od 1938 roku pokazywano już całą tetralogię.

W wielu teatrach operowych na świecie istnieje tradycja, że inscenizację „Pierścienia…” zaczyna się od jego drugiej części – „Walkirii”. My wystawialiśmy już „Złoto Renu” w 2009 roku, więc na razie nie mamy zamiaru tego powtarzać. A jeżeli chcielibyśmy pokazać cały „Pierścień Nibelunga”, wymagałoby to o wiele większego nakładu czasu i pracy. Musielibyśmy wystawiać co roku jedną część tetralogii przez kolejne cztery lata. Jesteśmy dopiero przed pierwszą edycją *Baltic Opera Festival* i nie mamy jeszcze takich możliwości, żeby planować repertuar na cztery lata do przodu.



Tomasz Konieczny, fot. Igor Omułecki

Czy podczas Festiwalu będzie grany polski utwór?

Tak, będzie to mniej znana, młodzieńcza operetka Karola Szymanowskiego „Loteria na mężów, czyli narzeczony numer 69”, którą skomponował na wzór operetek wiedeńskich. Być może pokażemy ją także na festiwalu w Chiemgau. Spektakl wyreżyseruje Marcin Sławiński. Pierwszą edycję *Baltic Opera Festival* zakończy koncert galowy z utworami George’a Gershwina.

Kogo zobaczymy i usłyszymy na scenie Opery Leśnej?

W partiach solowych usłyszymy między innymi Małgorzatę Walewską, Izabelę Matułę, Latonię Moore, Stefana Vinke, Piotra Buszewskiego, Rafała Siwka i Rayana Speedo Greena, który będzie taką „wisienką na torcie", bo wystąpi w „Loterii na mężów". Będziemy mieć więc ciemnoskórego śpiewaka w polskiej operetce. Czekam jeszcze na potwierdzenie udziału pozostałych solistów. Postanowiłem zaangażować do „Loterii…" i do Gali Gershwinowskiej studentów i absolwentów Akademii Operowej przy Teatrze Wielkim w Warszawie. W Gali Gershwinowskiej wystąpi także Pretty Yende, jedna z obecnie najlepszych sopranistek na świecie. Towarzyszyć nam będzie orkiestra Sopockiej Filharmonii Kameralnej pod dyrekcją Wojciecha Rajskiego.

To dobrze, że obsada będzie międzynarodowa, bo w przedwojennym festiwalu brali udział głównie śpiewacy niemieccy.

W tamtych czasach było to zupełnie normalne. Nie istniała tradycja międzynarodowego obsadzania spektakli, choć czasami angażowano wielkie gwiazdy, na przykład z *Metropolitan Opera*. Wiązało się to z faktem, że tłumaczono libretta oper na język kraju, w którym je wystawiano. W międzywojennej Polsce śpiewano Wagnera po polsku. W krajach niemieckojęzycznych,

na przykład w Austrii, jeszcze po wojnie wykonywano wszystkie opery przez długi czas po niemiecku. Ewenementem był pod tym względem Amerykanin, George London (1920-1985), który po przybyciu do Europy śpiewał wszystkie partie w językach oryginalnych, chociaż ich nie znał i nie wszystkich zdołał się nauczyć.

Za to imponująca jest historia fesiwalu wagnerowskuiego w Sopocie, jak on się wspaniale rozwijał, choć niestety, naziści przyczepili mu łatkę „bastionu kultury niemieckiej w wyizolowanym Wolnym Mieście Gdańsku”. Ciekawie przebiegała wymiana śpiewaków pomiędzy Operą Leśną w Sopocie a Festiwalem w Bayreuth.



Tomasz Konieczny, fot. Igor Omułecki

Frida Leider stała się na przykład sławna dzięki Festiwalowi w Sopocie. W latach 1921-27 śpiewała tam w „Fidelio”, „Walkirii”, „Zmierzchu bogów” i „Tannhäuserze”, a w 1928 roku zaangażowano ją do Bayreuth do roli Kundry.

To jest bardzo ciekawe, bo pokazuje, jak wysoki był poziom Festiwalu w Operze Leśnej. Poza tym Sopot jako atrakcyjna, nadmorska miejscowość, przyciągał w okresie międzywojennym

turystów z innych krajów, także bogatych Polaków, którzy przyjeżdżali tam na wypoczynek, ale przychodzili też na przedstawienia operowe. Ten element tradycji także chcemy przywrócić. Chcielibyśmy, aby na festiwal przybywali goście zagraniczni, którzy będą brali udział w wartościowych wydarzeniach artystycznych i przy okazji dowiadywali się czegoś o naszym kraju.

A jak rozwiążesz kwestię chóru? Chóry są najbardziej poszkodowane przez pandemię, bo albo nie występują wcale, albo w bardzo okrojonym składzie, żeby zachować przepisowe odstępy. W Bayreuth też będzie w tym roku nowa inscenizacja „Holendra tułacza" i trwają dyskusje, czy ograniczyć liczbę chórzystek i chórzystów do minimum, czy puścić nagranie „z offu". Ale ja nie wyobrażam sobie „Holendra..." bez udziału chóru.

Chodzi o to, żeby ograniczyć kontakt tej rzeszy ludzi, która śpiewa w chórze, z solistami, żeby ich nie pozarażać i oczywiście, żeby chórzyści też nie pozarażali siebie nawzajem. W Bayreuth to zrozumiałe, że trzeba podjąć radykalne kroki, bo tam ludzie są zgromadzeni na bardzo małej powierzchni, obiekt jest nieklimatyzowany, dlatego trzeba chronić nie tylko śpiewaków, ale i widzów. W Operze Leśnej są trochę lepsze warunki, bo przedstawienia odbędą się na wolnym powietrzu. Scena jest tam większa, niż w Bayreuth, więc możemy tych ludzi odpowiednio

porozstawiać. Ale puszczanie chóru „z offu”, czyli z głośników, to dla mnie zbyt sztuczne rozwiązanie, prawie kastracja. W mojej produkcji „Holendra…” byłoby dopuszczalne, żeby chórzyści śpiewali w maseczkach. Zresztą nasz zespół będzie zredukowany do sześćdziesięciu osób: czterdzieści z nich to będzie „główny chór”, a pozostałe dwadzieścia osób to „chór duchów”. Ale wszystko zależy od tego, jak do lipca zmieni się sytuacja, czy będą jeszcze obowiązywały obostrzenia i jakiego będą rodzaju.

Podsumujmy wszystkie plusy tego wydarzenia artystycznego: międzynarodowy charakter, zakorzenienie w tradycji, obecność gwiazd światowej sławy, debiut młodych wokalistów i praca dla ludzi z branży artystycznej.

I jeszcze jedna ważna rzecz: spektakle w Operze Leśnej odbywają się na wolnym powietrzu, co zmniejsza ryzyko złapania wirusa, o ile pandemia jeszcze będzie trwać. Starsze osoby, bardziej zagrożone, mogą przyjść bez obaw na nasze przedstawienia i koncerty. Sprzedaż biletów zaczyna się w marcu. Poza tym *Baltic Opera Festival* przypada na tydzień przed rozpoczęciem *Bayreuther Festspiele*. Tych, którzy nie dostaną biletów do *Festspielhaus*, zapraszam serdecznie do Sopotu.

Szczegółowy program festiwalu na stronie:
https://www.balticoperafestival.com/pl/

Zobacz też:

> Piotr Beczała w „Mekce Wagnerianów”

> Historycznie zawiły, muzycznie doskonały

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.



Moja najbliższa rodzina (beze mnie) – tata, Julek, mama, Ela, w czerwonej sukience, później opisywanej, Jadzia Kosińska, Witek, ciocia Janka – siostra taty

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Muszę wrócić do 1939 roku, gdy po wkroczeniu okupantów niemieckich, została bardzo szybko zorganizowana ich administracja. W listopadzie pozwolono na otwarcie szkoły podstawowej, wówczas zwanej powszechna. Obowiązywał nowy program nauczania, bez historii, bez geografii, bez literatury polskiej, z surowym zakazem korzystania z podręczników szkolnych wydanych przed wojną. Inspekcie kontrolne odbywały się często i znienacka. Nie jednego nauczyciela aresztowano, a może i zgładzono. Cóż więc pozostało? Ja, głupstwo, dopiero zaczynałam. Uczyłam się pisać, czytać, rachować, rysować i

śpiewać z panem Feliksem Szczudłowskim, przezywanym przez dzieci Felu-Kapelu. Przygrywał nam na skrzypcach i czynił to z wielką miłością. Biedny, chory był na gruźlicę. Moje starsze rodzeństwo, a zwłaszcza Ela i Witek będący w wieku gimnazjalnym, pozbawieni zostali w ogóle możliwości uczenia się. W małym miasteczku, jakim był wówczas Hrubieszów, trudno było o prywatne lekcje. Tajne komplety zaistniały dopiero później. Julek zaliczał jeszcze podstawówkę.

Chodziliśmy do tzw. „starej szkoły", którą był sympatyczny, drewniany, parterowy budynek dawnej plebani prawosławnej. Osiem dużych klas i przybudówka kuchenna, od frontu drewniany, otwarty ganek z ławeczkami i duże boisko ze skarpą, po której zimą zjeżdżało się na czym kto mógł. W dole założono przed wojną skwer z młodymi jeszcze roślinami i tędy szło się do kościoła szkolnego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży.

Starą szkołę pokochałam od pierwszego dnia i miło wspominam do dzisiaj. Pierwszą moją panią była urocza, młoda osoba, którą uwielbiałam i patrzyłam w jej ładną, kolorową buzię, jak w obrazek święty. Niestety nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska.

Uczyliśmy się na raty. Klasy młodsze przychodziły później i kończyły, gdy było już ciemno na jesieni i zimą. Nie pamiętam, by

starsze rodzeństwo opiekowało się mną w tym trudnym, początkowym okresie. Raczej lekcji i zegara pilnował Oleś Du Chateau, starszy o dwa lata, przynajmniej jego pamiętam. Należałam raczej do zdyscyplinowanych z natury i chyba ambitnych i pracowitych. Problemów z nauką nie było, najwyższe noty z góry na dół. Katechetą był ksiądz Edward Dolecki, działacz konspiracyjny AK. Ofiarował swoje radio marki „ECHO" do nasłuchu Polskiej Służbie Informacyjnej BIP, co było wielką pomocą w uzyskiwaniu wiadomości. Dowiedziałam się o tym dużo później z książki – pracy zbiorowej p.t. „Łuny nad Huczwą i Bugiem", wyd. w Zamościu w 1992 r. Lekcje religii były wielką radością, a umiejętność zwracania się do dzieci była wielkim darem bożym. Ksiądz Dolecki przygotowywał nas do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Pamiętam lekcje w kaplicy grobowej przy kościele św. Stanisława, gdzie wilgoć i ziąb przenikliwy wyłaził z grubych murów, nawet w ciepłe dni wiosenne. Czasem uczyliśmy się na cmentarzu przykościelnym, niegdyś grzebalnym. Kościół zbudowany pod koniec XVIII w. jako unicki pod wezwaniem św. Mikołaja został w XIX w. zamieniony przez władze carskie na cerkiew prawosławną, później rekoncyliowany i wreszcie stał się katolickim kościołem szkolnym, dzisiaj cieszący się cudownym obrazem Matki Bożej Sokalskiej.

O tym, że cmentarz był grzebalny i dużo starszy od kościoła świadczyć mogą sterczące w osuwisku od strony Huczwy kości,

którymi chłopcy rzucali w siebie, jak śnieżkami. Wiedziały o tym dzieci z naszej szkoły, stojącej po sąsiedzku. Miejsce usytuowania kościoła miało od wieków charakter szczególny, ze względu na ukształtowanie wysokiego brzegu rzeki. Był to najwyższy teren wyspy, na której powstał Hrubieszów, pierwotnie zwany Rubieszowem.

A więc niezwykła szkoła, w niezwykłym miejscu, z niezwykłą atmosferą, jakby fluidy czasu zawisły właśnie tu, zakumulowane, zawirowane wartkim nurtem Huczwy. Ale szkoła to przede wszystkim żyjący ludzie z całym swym bogactwem różnorodności charakterów, talentów, osobowości. Pierwsze koleżanki – przyjaciółki na następne lata, pierwsze porównania zdolności, umiejętności manualnych, kontrowersje myślenia, zachowań i reakcji, pierwsze zdziwienia i rozczarowania, ale i zachwyty. W drugiej klasie uczyliśmy się w przybudówce kuchennej. Była nieforemna, bez osi, z jednym małym oknem i drzwiami na wylot. Siedzieliśmy w ławkach drewnianych o pulpitowej konstrukcji blatu, u którego w prostej szczytowej znajdowały się dwie okrągłe dziury na kałamarze. Pod pulpitem półka na teczkę. Ławki były dwuosobowe, ale zsunięte po trzy w rzędzie. Tutaj siedziała zdecydowana większość dziewczynek. Pod oknem pojedynczy rząd dla chłopców. Zazdrościłyśmy im większej swobody. Zanim ta szósta przedarła się przez cały rząd, upływało trochę czasu. Czasem czułyśmy się zaklinowane.



Mama Eleonora Fabijańska wącha różę

Z całej klasy najbardziej podobała mi się Hania Skopińska, pierwsza przyjaciółka, której jestem wierna do dziś. Hania miała wtedy dwa grube, pszeniczne warkocze, jasnoróżową buzię i

śliczne białe zęby, które tak ładnie było widać w uśmiechu. Zimą nosiła robiony na drutach golf z melanżu biało-seledynowego, w którym buzia jej jeszcze bardziej piękniała. Poza tym Hania imponowała mi talentem. Szybko i bardzo pomysłowo rysowała papierowe lalki w różnych wielkościach i na każde zamówienie. Lalki nosiły kolorowe stroje, bereciki, kokardy, miały warkocze i wszystko, co mogło się podobać. Hania uczyła się grać na fortepianie i w ogóle była dziewczynką z dobrego domu. Z Hanią wolno mi było się przyjaźnić i bywać w jej domu. Państwo Skopińscy przybyli do Hrubieszowa chyba zza Buga. Początkowo zamieszkali w małym, typowo hrubieszowskim drewnianym domu z werandką od ulicy zwanej Podzamczem, blisko mostu. Szalowany deskami i malowany olejna farbą na kolor szaro-niebieski, stapiał się z zielenią sadu i ogródka od strony Huczwy. Jedne imieniny Hani odbyły się właśnie tam. Co podano w ten czas wojenny, nie pamiętam, chyba było kakao – zdobyty rarytas. Każde dziecko miało swoje miejsce, przeznaczone przez gospodarzy, jak nakazywał dawny, dworski obyczaj. Przed talerzem, na stole leżała karteczka z imieniem i nazwiskiem, ozdobiona przez Hanię kredkami i żywym kwiatkiem. Dotąd przechowuje ten skarb w szufladzie. Imieniny te zostały uwiecznione amatorskim zdjęciem, na którym dominuje ogromny, biały motyl nad głową solenizantki.

Piszę o tym, bo jest to świadectwo głębokich tradycji obyczajowych polskiej inteligencji i świadomość potrzeby

kultywowania piękna w życiu codziennym, mimo szarzyzny i niepewności jutra. Myślę, że takie chwile pomogły nam przetrwać najgorsze, bo zawsze było odniesienie do czegoś wzniosłego. Ogromnie dużo zawdzięczam Hani rodzicom. Nie krępowali nas swoją obecnością, a umiejętnie, z dala pozwalali nam na niecodzienne zabawy. Miałyśmy swoją pocztę, pisywałyśmy listy zaszyfrowane naszym, wyłącznym, jedynym językiem.

Trzecią papużką była córka lekarza, doktora Cieślaka, Marysia, o niesamowitych ogromnych zielonych oczach i wspaniałych warkoczach. Była błyskotliwa, oczytana (tak, tak, nawet w drugiej klasie szkoły podstawowej), inteligentna i grająca na fortepianie przy każdej okazji. Trzymałyśmy się we trzy do końca wojny. Potem obie ich rodziny wyjechały do Zamościa, my dopiero rok później.

Państwo Cieślakowie mieszkali w drewnianym domu, blisko cerkwi. Już nie istnieje ani ten dom, ani szaro-niebieski z gankiem. Brak szacunku dla obiektów zabytkowych w czasach PRL zniszczył charakter dawnego Hrubieszowa, który miał szansę stać się atrakcją turystyczną tego pięknego, bogatego w wydarzenia historyczne, regionu.

Doktorostwo Cieślakowie z Marysią i Markiem opuścili Hrubieszów, gdy okupacja jeszcze trwała. Państwo Skopińscy

przenieśli się do bardziej nowoczesnego domu, też drewnianego, ale z piętrem, gdzie mieli spore mieszkanie składające się z dużych trzech pokoi i kuchni, ze wspólną dużą łazienką. To już były luksusy. W tym domu bawiłyśmy się częściej niż u Marysi. Mimo okupacji chodziłam do szkoły regularnie, rok po roku. Z wyjątkiem ospy wietrznej i jakiś gryp, nie chorowałam. Rekordy bił u nas Julek, chorował na szkarlatynę, na tyfus, wiecznie na anginy. Witek natomiast dwa razy zaliczył kilkutygodniowe leżenie w szpitalu, raz na ślepą kiszkę (wyrostek robaczkowy), a raz miał złamana nogę przez własną nadmierną ruchliwość. W ogóle Witek naszej mamie przysparzał najwięcej emocji. Przepadał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jakie miał towarzystwo. Ale to on nas właściwie utrzymywał. Najpierw handlując nićmi przywożonymi z Warszawy, później legalnie, koncesyjnie prowadząc kiosk z papierosami, a potem pracował w magazynach jabłek. Potrafił upiec chleb, zdobyć mąkę, opał, naftę do lampy i wszystko co było potrzebne do przetrwania. Od początku wojny, od powrotu z naszej wędrówki na wschód, Witek, mający zaledwie 14 lat, poczuł się odpowiedzialny za całą rodzinę, nie tylko najbliższą.

Całe szczęście, że otwarto średnią szkołę, tzw. handlówkę, na potrzeby niemieckiej administracji, przygotowującej do pracy w biurach i w sklepach. Uczyli ci sami profesorowie, co przed wojną w gimnazjum. W ciągu dwóch lat uczyli się prowadzenia księgowości, umiejętności stenografowania, towaroznawstwa,

języka niemieckiego. Ela i Witek skończyli tę szkołę. Ela później dokształcała się we własnym zakresie, jednocześnie pracując w biurze Polskiego Czerwonego Krzyża, świetnie działającej placówce, prowadzonej przez doktora Władysława Kuczewskiego, dobroczyńcy tamtych czasów. Wspomniałam wcześniej o jego tragicznej, podstępnej śmierci z rąk „pacjenta", ukraińskiego nacjonalisty.

Nasza nauka nie była normalna, Niemcy utrudniali, jak tylko mogli. Często trzeba było zmieniać miejsce lekcji. Po zagładzie Żydów, uczyliśmy się w pożydowskich domach prywatnych, zimnych i zdewastowanych. Idąc do szkoły nigdy nie wiedziałam, gdzie będą lekcje, ale zawsze ktoś stał na czatach i dawał nam znać. To była konspiracja. A starsze rodzeństwo nie miało swojego przedwojennego budynku, więc uczyli się nawet w stodole. Jakoś nikt nie narzekał, a dzisiaj mamy co wspominać.



Lila i mama ze mną w Hrubieszowie na ulicy Staszica (w głębi widać pomnik) w 1938 r. (Eleonora Fabijańska, Teresa Fabijańska, Maria z Piątkowskich Wacławowa Banaszkiewiczowa)

Na wiosnę 1940 roku musieliśmy opuścić nasze mieszkanie w śródmieściu. Z trudem i z pomocą cioci Janki Kosińskiej znalazło się mieszkanie na Poberżanach. Tak nazywało się przedmieście w kierunku Zamościa, a ulica po dziś dzień nosi nazwę Zamojskiej. W piętrowym, nowym domu, jedynym murowanym wówczas w tej okolicy, mieliśmy dwa pokoje z kuchnią. W podwórzu była komórka na węgiel i sławojka. Przetrwaliśmy tutaj do powrotu ojca w 1945 roku.

Mieszkanie było sympatyczne, chociaż dla nas przymałe. Jak zwykle były też plusy, bo okoliczni gospodarze z ich ogrodami i płodami rolnymi pomogli nam przeżyć, ale gdy spojrzę egoistycznie, dla mnie była zbyt duża odległość do szkoły. I droga była niebezpieczna, nie było chodników, ani nawet poboczy. Trzeba było iść szosa, a to była droga wojsk okupacyjnych z Zamościa za Bug. Jeździły okropne czołgi, ciężarówki z żołnierzami niemieckimi, wozy pancerne kolumnami po kilkadziesiąt, bez przerwy, w dzień i w nocy. Najpierw koncentracja na linii Bugu w czerwcu 1941 r., potem stałe, niekończące się przejazdy, a pomiędzy nimi z trudem przedzierały się chłopskie wozy. Droga była szutrowana, ciężki transport powybijał dziury, które zawsze były pełne wody o błotnistej mazi. Ominąć je i nie zostać ochlapanym, to sztuka, której nauczyłam się z czasem. Po obu bokach drogi głębokie rowy zbierały mazistą wodę, ale w czas suchy nauczyłam się po rowach tych skakać, odbijając się zygzakiem. Najgorzej zimą szło

się w mróz siarczysty (w te wojenne lata zimy były srogie) pod drutami elektrycznymi. Każde zbliżenie do słupa natężało melodię denerwującą i groźną. Mówiło się wtedy: będzie mróz, bo druty grają. Dobrze się działo, gdy dobry gospodarz pozwalał dzieciom przysiąść na rozłożystych saniach. Wtedy strach mijał i droga szybko zeszła.

Na szczęście zimy miały swój koniec. Poberżany ze swoją zielenią, sadami przy domach, warzywnikami miały niepowtarzalny urok. Ludzie żyli zgodnie, solidarnie i z przyjaźnią. W każdym niemal podwórku miałam koleżanki, starsze lub rówieśniczki, z którymi organizowałam teatr podwórkowy, różne zabawy i wyczyny sportowe, m.in. moda przyszła na szczudła. Robiliśmy je sami z tyczek po fasoli. Nie umiem dzisiaj pojąć, jak mogliśmy na nich chodzić. Niewątpliwie dużą zapamiętaną atrakcją był cyrk. Nie wiem skąd przyjechał i chyba to było po 1941 roku. Rozbito go na wygonie – półokrągłym placu znajdującym się w połowie ulicy Zamojskiej, po lewej stronie idąc od miasta. Kacze doły, może z czasów działań I wojny światowej, świetnie nadawały się do zjazdów na sankach. Boże, co my wtedy wyprawialiśmy! To nie była normalna jazda, tylko wszystkie możliwe popisy. Ślizgawka na śluzie w czasie okupacji nie funkcjonowała, gdzieżby to było możliwe pod okiem Landrata, który rozgościł się we dworze Du Chateau, jak we własnej rezydencji. Pozostawały więc sanki i ewentualnie podtopione łąki pod lasem na ślizgawkę. Jednak to

już nie miało żadnego charakteru, ot pozamarzane mniejsze i większe kałuże. Przed wojną utrzymywane i czyszczone lodowisko ściągało towarzystwo. Przychodziły całe rodziny, młodzież gimnazjalna, która przy muzyce dawała popisy jazdy figurowej i holendrowania. Mama miała śliczny komplet z białej angory: golf, szal, czapka i spódniczka kroju podobnego do tych, ktore nosiły słynne łyżwiarki, np. Sonia Henni. Mama jeździła ładnie, tata jeździł zgrabnie, Ela holendrowała brawurowo trzymając się za ręce z dwoma kolegami. Bracia uczyli się, jeździli szybko wokoło lodowiska. Nawet ja miałam łyżewki na podwójnej płozie i ciągle się przewracałam. Tak już zostało, łyżwy nie były moją miłością.

Wróciłam miłym wspomnieniem do czasów wcześniejszych, ale muszę wrócić do okupacji. Chciałabym, aby moje wnuki zrozumiały i zapamiętały, że nie wolno najeżdżać innego kraju, nie wolno brutalnie włazić w czyjeś życie, nie wolno szydzić z innych ludzi, nie wolno wyśmiewać cudzej świętości, nie wolno zabijać, niszczyć życia.

Najgorszy był początek okupacji, rok 1939 i 1940 z bardzo mroźną zimą oraz 1944 i 1945 już bez wojsk niemieckich, za to z sowieckimi. To lata, które odcisnęły się w pamięci jako lata głodu, chłodu, świerzbu, wszy i odmrożonych kończyn. W latach tych nawet kartek żywnościowych nie było. Przydziały żywności dla ludności pozarolniczej przewidywały kaszę, nie pamiętam

jaką, okropną mąkę, ciemną i zanieczyszczoną, marmoladę z buraków, płynną, brązową melasę, wyglądającą jak klej stolarski, zastępującej cukier i dla dzieci pół litra mleka. Po te produkty stawało się w gigantycznych kolejkach na zmianę, bo trzeba było stać kilka godzin, właściwie bez żadnego pożytku, ale zrezygnować się nie dało.

Wielką pomocą do 1944 roku (później już władza ludowa zabrała) był nam Wiszniów Banaszkiewiczów, majątek ziemski niedaleko Hrubieszowa, gdzie mieszkała, córka cioci Niusi – Lila z Piątkowskich z rodziną. Tam na cmentarzu wiejskim pochowany jest mój dziadek ze strony mamy, Anzelm de Schmieden-Kowalski i jego najstarsza córka, ciocia Niusia, związana z Czumowem. Zwłaszcza w okresie, gdy babunia Mania była z nami, podrzucano nam prawdziwą mąkę, czasami kaszę. Kurczak i jakieś wiktuały spływały nam jak manna z nieba. Mama smażyła nam wtedy ulubione jabłka w cieście i placuszki na miodzie. Można było nawet upiec tort z fasoli, tzw. jaśka. Smakował niczym marcepan. W czasie świątecznym robiło się torty makowe bez cukru, cukierki z płatków owsianych i piło zamiast herbaty napar ze skórek jabłkowych. Tych na Poberżanach nigdy nie brakowało. Przyjmowało się gości sałatką jarzynową zwaną *vinaigrette*. Najwięcej było w niej buraków i kartofli oraz małej fasoli. Smakowała znakomicie.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

> Historia w karetach zaklęta

Chick Corea. Spotkanie z legendą współczesnego jazzu.

Tekst: Joanna Sokołowska-Gwizdka , **zdjęcia: Jacek Gwizdka** *(Austin, Teksas)*



Chick Corea, konferencja prasowa podczas *Festival International de Jazz de Montreal*, 2002 r., fot. Jacek Gwizdka

W lutym pożegnaliśmy wielkiego amerykańskiego pianistę jazzowego i kompozytora, wielokrotnie nagradzanego, uważanego za jednego z największych mistrzów jazzu w historii, mającego wielu naśladowców. Chick Corea (1941-2021) to geniusz fortepianu, geniusz kompozycji, improwizacji i epoki, w której żył. Był jednym z pionierów kierunku w muzyce zwanego *fusion,* łączącego *jazz* i *rock*. Jego muzyka wpłynęła na *jazz latynoski, free jazz*, a także na *jazz awangardowy* i *klasyczny*. Wypracował charakterystyczny sposób grania, z wielką, wręcz

akrobatyczną biegłością posługiwał się klawiaturą fortepianu, wykorzystał też w pełni możliwości instrumentów elektronicznych. Razem z Herbie Hancockiem i Keithem Jarrettem uważany jest za najbardziej wpływowego pianistę jazzowego drugiej połowy XX w. Kompozycje jazzowe takie jak „Spain", „La Fiesta", „Now He Sings, Now He Sobs", „Armando's Rhumba" czy „Matrix", to tylko niektóre z jego wielkich standardów, które tworzą historię jazzu XX w.

Chick Corea, a właściwie Armando Anthony Corea, urodził się w Chelsea w Massachusetts, na przedmieściach Bostonu. Miał włoskie korzenie, jego rodzina pochodziła z Kalabrii i z Sycylii. Ojciec – Armando był zawodowym trębaczem, grał w latach 30. i 40. w *Original Dixieland Jazz Band* w Bostonie. Chick dzięki ojcu zaczął grać na pianinie już w wieku 5 lat. W wieku 8 lat zaczął grać na perkusji. To zainspirowało go, alby fortepian potem traktować jak instrument perkusyjny. Uczył się też pod kierunkiem pianisty koncertowego Salvatore Sullo. To on zapoznał Chicka z muzyką poważną i zainteresował kompozycją.

Dorastał w okresie tzw. *bebopu*, czyli stylu jazzowego powstałego w latach 40. na wschodnim wybrzeżu Ameryki, stworzonego przez Dizzy Gillespie i Charlie „Bird" Parkera, charakteryzującego się dużą swobodą interpretacyjną, rozwiniętą improwizacją i rytmiką.

Czarny smoking, który Chick otrzymał od ojca w prezencie w szkole średniej, odegrał, jak się okazało, ważną rolę w karierze muzycznej przyszłego kompozytora. Wtedy bowiem zaczął występował w trio, które wykonywało muzykę Horace'a Silvera w klubie jazzowym w Bostonie. W skład trio wchodził portugalski trębacz Phil Barboza oraz kongista Bill Fitch, który zapoznał Chica z muzyką latynoską.

Karierę zawodową rozpoczął na początku lat 60. Podczas występów na żywo często przetwarzał dźwięk swojego pianina elektrycznego za pomocą urządzenia zwanego modulatorem pierścieniowym. Używając tego stylu, pojawił się w wielu albumach Milesa Davisa. Jego występy na żywo z zespołem Davisa trwały do 1970 roku. Ostatni skład zespołu oprócz samego Milesa Davisa, to takie wielkie nazwiska jak: saksofonista Steve Grossman, pianista jazzowy Keith Jarrett, basista Dave Holland, instrumenty perkusyjne Airto Moreira i perkusista Jack DeJohnette. Na początku lat 70. Chick Corea i Dave Holland opuścili zespół Milesa Davisa i założyli własną grupę *free jazzową*, która nagrywała dla Blue Note i ECM. W 1971 roku Chick Corea zaczął koncertować i nagrywać, m.in. dla wytwórni ECM koncerty solowe.

Założony w 1972 roku zespół „Return to Forever" czerpał ze stylu muzyki latynoamerykańskiej. I ten styl stał się przez wiele lat dominujący w twórczości Chicka Corei. Potem doszły

elementy *rockowe* i *funkowe*. W 1976 roku wyszła płyta „My Spanish Heart”, która łączyła *jazz* i *flamenco*.

W 1986 r. Chick Corea podpisał kontrakt płytowy z GRP Records, który zaowocował wydaniem dziesięciu albumów w latach 1986-1994. Jego zespół „The Akoustic Band” wydał w 1989 r. album „Alive”, z udziałem John’a Patitucciego na basie i Dave’a Weckla na perkusji. Oznaczało to powrót do tradycyjnego trio jazzowego.

W 1989 r. Chick Corea i John Patitucci promowali swoją płytę „Alive” podczas koncertu we Franfurcie nad Menem.



Chick Corea, Frankfurt nad Menem, 1989 r., fot. Jacek Gwizdka
W 1992 r. Corea założył własną wytwórnię płytową Stretch Records.

W drugiej połowie swojej kariery zajmował się także współczesną muzyką klasyczną. Skomponował koncert fortepianowy i adaptację swojego autorskiego utworu „Spain" na pełną orkiestrę symfoniczną – i wykonał go w 1999 roku z *London*

Philharmonic Orchestra. Pięć lat później skomponował utwór bez instrumentów klawiszowych: jego pierwszy kwartet smyczkowy został napisany dla „Orion String Quartet” i wykonany na *Summerfest* w Wisconsin w 2004 roku.

Corea kontynuował też nagrywanie albumów *fusion*. Jego album „Ultimate Adventure” z 2006 r. zdobył nagrodę Grammy dla najlepszego jazzowego albumu instrumentalnego.

Nowa grupa, „Five Peace Band”, rozpoczęła światową trasę koncertową w październiku 2008 roku. W skład zespołu wchodził gitarzysta John McLaughlin, z którym Corea gral w zespołach Milesa Davisa pod koniec lat 60. Do Corei i McLaughlin dołączyli saksofonista Kenny Garrett i basista Christian McBride. Ogromne oddziaływanie muzyki Corei dało się zauważyć podczas retrospektywy w 2011 roku w *Lincoln Center for the Performing Arts* w Nowym Jorku.

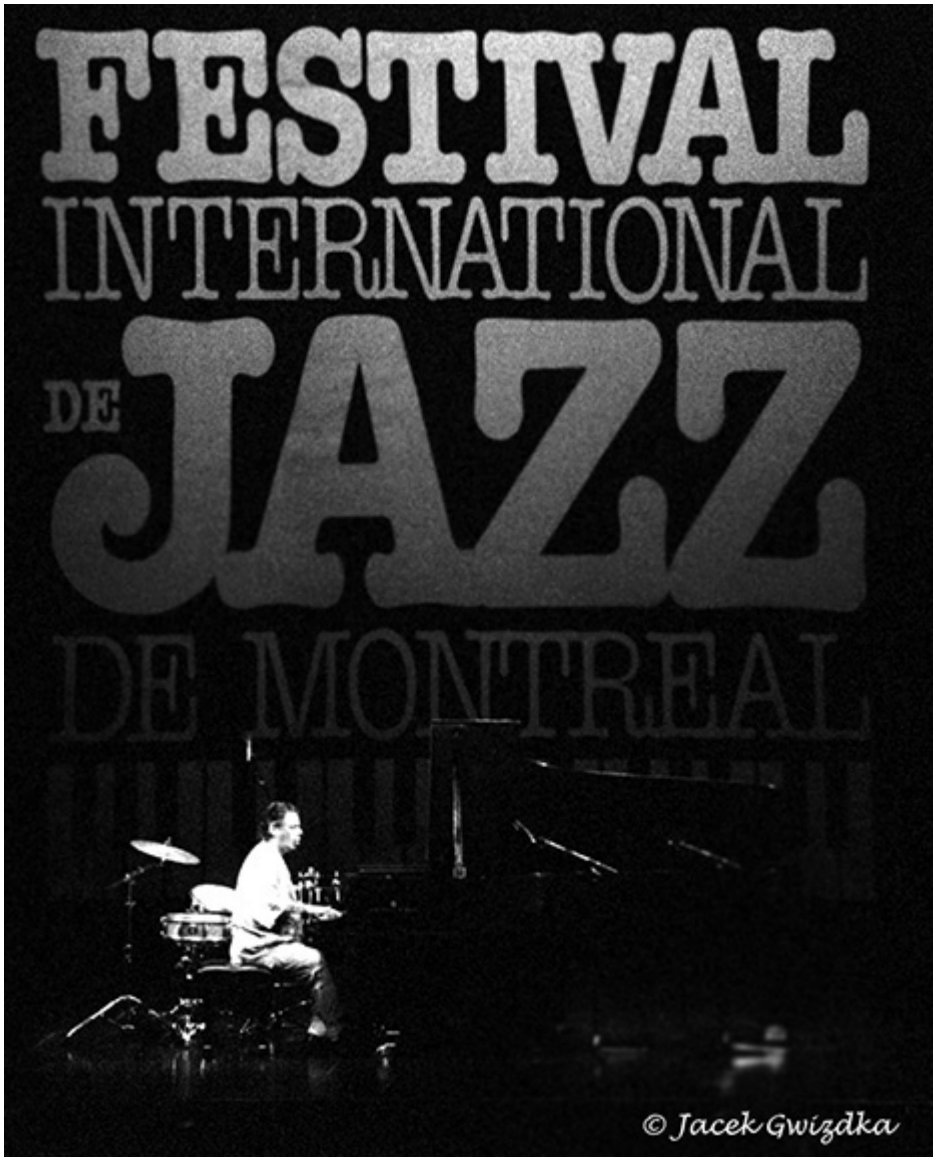
Chick Corea grywał też w duetach. Słynna była seria koncertów z Herbie Hancockiem mająca charakter fortepianowego dialogu. Pierwszy koncert z tej serii miał miejsce w *Paramount Theatre* w Seattle w 2015 r. i obejmował improwizacje, własne kompozycje i standardy innych kompozytorów.

W 2016 r. Corea świętował swoje 75. urodziny. Grał wtedy z ponad 20 różnymi zespołami przez sześć tygodni w *Blue Note*

Jazz Club w Greenwich Village w Nowym Jorku. – *Całkiem dobrze ignoruję liczby składające się na wiek* – powiedział wtedy. – *Wydaje się, że jest to najlepsza droga. Zawsze koncentrowałem się na tym, by czerpać jak najwięcej radości z przygody z muzyką.*

Chick Corea zmarł na raka w swoim domu w rejonie Tampa Bay na Florydzie 9 lutego 2021 roku w wieku 79 lat. I tak skończył się pewien etap w rozwoju muzyki jazzowej wieku XX i XXI.

***



Chick Corea podczas koncertu w Montrealu, 2002 r., fot. Jacek Gwizdka

Wiadomość o odejściu Chicka Corei spowodowała, że zaczęłam wspominać wyjazdy na festiwale jazzowe do Montrealu i wertować dawne artykuły. Na *Festival International de Jazz de Montreal* byłam akredytowana trzykrotnie, jako dziennikarka radia w Perth w Australii, z którym wtedy współpracowałam, w 2001, 2002 i 2004 roku. Nadawałam audycje na żywo, pisałam też artykuły do „Jazz Forum" i do „Gazety" w Toronto, w której wtedy pracowałam. Jacek, mój mąż, miał akredytację jako

fotograf, dzięki czemu powstała kolekcja unikalnych fotografii jazzowych.

Atmosfera festiwalowa w mieście była niesamowita. Centrum było zaczarowane, dziesiątki koncertów, w klubach, salach i na ulicach. – *W Montrealu uważa się, że Jazz powinien zatrzymać ruch i otoczyć masową ekstazą połowę miasta* – napisano w „The Globe and Mail”. – *Zaskakujące, każdego lata dokładnie tak się dzieje*.

> Miasto paraliżuje muzyka, słońce i tłumy ludzi – pisałam w artykule „Jazz w kolorach lata”. – W Montrealu żyje się tylko jednym – jazzem. W ulicznych kolorach, wirującym tańcu nocnych rytmów, blaskach neonów, szumie, tłumie i labiryncie kulturowej mozaiki trudno się zdecydować na wybór, wszystko tak kusi, że chciałoby się na raz wchłonąć cały ten jazz oraz to co jest wokół niego. *Place des Arts* z fontannami i wodospadem stał się miejscem spotkań, spacerów i wielką promenadą mody. Wypełniają go sklepy z pamiątkami, festiwalowymi gadżetami i galerie sztuki. To tutaj są też wielkie sceny dla wielkich koncertów, takie jak *Salle Wilfrid-Pelletier* oraz *Theatre Maisonneuve*. Nie można też zapomnieć o scenach na wolnym powietrzu *General Motors* i *Luizjana*, które codziennie otacza wielopokoleniowy i wielonarodowościowy tłum, poddający się rytmom z

> różnych stron świata. Mimo, że wszystkie inne festiwalowe sceny, kluby i sale koncertowe położone są mniej więcej w obrębie placu, tak na prawdę muzyką tętni całe miasto.

W 2001 roku pisałam o słynnym utworze Chicka Corei „Spain", wykonywanym przez pianistę i gitarzystę podczas festiwalu. Oto fragment mojego artykułu p.t. „Jazzowa mozaika w Montrealu":

> Występ pianisty z Dominikany Michela Camilo i hiszpańskiego gitarzysty Tomatito pt. „The Spain Concert", należał do serii wielkich koncertów w Théâtre Maisonneuve. Hiszpańskie rytmy, utwory bardziej popularne i mniej popularne porwały publiczność. W repertuarze znalazły się kompozycje samego Camilo m.in. gorąca „Caribe", cz. II „Concierto de Aranjuez" Juana Rodrigo oraz Chica Corei „Spain". Brzmienie flamenco i hiszpańskie, malownicze utwory pozwoliły zapomnieć, że jest się obecnym na amerykańskim kontynencie, przenosząc wyobraźnię do kraju tańca z kastanietami. Błyskotliwa, niezwykle żywiołowa gra pianisty i gitarzysty spotkały się z owacyjnym przyjęciem.



Festiwalowa atmosfera na ulicach, ja w kapeluszu i z plakietką dziennikarską, za moimi plecami sala koncertowa, w której wieczorem wystąpi Chick Corea, 2002 r., fot. Jacek Gwizdka

W 2002 roku na festiwal przyjechał sam mistrz Chick Corea. Otrzymał wtedy nagrodę Milesa Davisa, przyznawaną przez festiwal. Pamiętam, że wystąpił w wielkiej sali koncertowej *Théâtre Maisonneuve*. Na widowni były tłumy. Nie mogłam wyjść z podziwu, czego dokonywał palcami na klawiaturze, to był raz balet, a raz cyrkowa akrobacja. Jedni byli zachwyceni, inni krytykowali, że to był tylko popis techniki, to nie jest ten sam Corea co kiedyś, że od dawna nic nowego nie stworzył. Według mnie, artysta nie jest maszyną do tworzenia wciąż nowych, zaskakujących utworów, które spowodują, że publiczność padnie na kolana. W życiu twórcy ma się różne okresy. Czasami trzeba zaczerpnąć oddech, aby potem znów siąść i stworzyć genialne

dzieła.

Oto co napisałam wtedy o występie pianisty w artykule „Jazz w kolorach lata”:

> Chic (właściwie Armando Anthony Corea) podczas festiwalu otrzymał nagrodę Milesa Davisa. Mówi się, że już blisko cztery dekady Chic Corea wnosi do muzyki jazzowej oryginalność kompozycji, świeżość spojrzenia, wyobraźnię oraz wirtuozerską technikę. Przez wiele lat wciąż tworzy swój własny jazzowy wizerunek, cechujący się fascynacjami różnymi rodzajami muzyki: fusion, elektronicznym rockiem, rytmami latynoskimi i muzyką klasyczną. Tak rozległe zainteresowania wynikają głównie ze zdolności artysty, dla którego w równym stopniu inspiracją była twórczość Bartoka i Beethovena, jak i Milesa Davisa, Billa Evansa czy Charliego Parkera. Jego zdolności w muzycznym kierunku ujawniły się już w dzieciństwie. Ojciec Chicka, kompozytor i trębacz umożliwił mu nie tylko naukę gry na fortepianie, ale i wspólne granie z własną orkiestrą. W 1959 roku Chick podjął naukę w nowojorskim Columbia University, by później akademickie studia porzucić dla studiów Jilliard School i wtopić się w muzyczny świat Manhattanu. Chic Corea przechodził wiele muzycznych przeobrażeń i zmieniał swoje zainteresowania. Swój pierwszy autorski album „Tones For

> Joan’s Bienes” nagrał z Waynem Shorterem i Joem Hendersonem. Potem grał z grupa Milesa Davisa. W 1972 roku, Corea założył zespół „Return To Forever”. Album o tej samej nazwie uznano, za jedną z najciekawszych płyt lat 70. Następny album „Crystal Silence” nagrany razem z Garym Burtonem prezentował zupełnie innego artystę, a duet otrzymał m.in. prestiżowe nagrody Grammy. W 1982 roku Chic powrócił do koncepcji muzyki w standardowym trio. Kolejną metamorfozą stał się zespół „Electric Band”. czy Chic Corea będzie nadal eksperymentował, to już czas pokaże.



Chick Corea i Jacek Gwizdka, konferencja prasowa, Montreal, 2002 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka podczas festiwalu jazzowego, Montreal, 2002 r.

> Podczas koncertu w Montrealu w pierwszej części grał standardy jazzowe – piszę dalej w artykule „Jazz w kolorach lata”. – Wykonał je bardzo dobrze i błyskotliwie, ale zabrakło w nich głębi i oryginalności improwizacji, jakiej oczekiwalibyśmy od tak wielkiego artysty. W drugiej części, obok dwóch preludiów Scriabina, zagrał własne kompozycje.

> Pod koniec występu Chic Corea podzielil widownię na 5 części i wykonał improwizowany utwór wraz z publicznością, która okazała się muzykalna. Z podobnym koncertem artysta wystąpił w Sali Kongresowej w Polsce na Walentynki w 2001 roku.

Podczas festiwalu w Montrealu mieliśmy też okazję uczestniczyć w konferencji prasowej z Chickiem Coreą. Odeszła legenda, ale pozostał trwały ślad w muzyce i na fotografiach.

Informacje biograficzne na temat Chicka Corei na podstawie wikipedii w języku angielskim.

Galeria

Montreal 2002 r.

- 
General Motors du Canada Limitée
FESTIVAL INTERNATIONAL DE JAZZ DE MONTREAL
© Jacek Gwizdka

- 
© Jacek Gwizdka


FESTIVAL
INTERNATIONAL
DE
JAZZ
DE MONTRÉAL
Bleue
© Jacek Gwizdka

- 
© Jacek Gwizdka



Chick Corea przygląda się statuetce Milesa Davisa

Montreal 2004 r.


© Jacek Gwizdka


© Jacek Gwizdka


© Jacek Gwizdka



Frankfurt nad Menem 1989 r.


© Jacek Gwizdka


© Jacek Gwizdka


© Jacek Gwizdka



Montreal w rytmie jazzu, 2002 i 2004 r.



Montreal nocą, fot. Jacek Gwizdka



Montreal, fot. Jacek Gwizdka



Montreal, fot. Jacek Gwizdka



Montreal, na przyjęciu w ambasadzie Szwajcarii, fot. Jacek Gwizdka



Montreal, konferencja prasowa, fot. Jacek Gwizdka

Mieszkaliśmy na campingu za Montrealem, na przyjęcia i bankiety przebieraliśmy się w hotelu, w którym było biuro festiwalowe. Wszędzie muzyka i wielkie gwiazdy jazzu. Np. z Wyntonem Marsalisem i jego żoną jechaliśmy windą. Cudownie było zajrzeć na *jam session* w nocy i posłuchać, jak grają wielcy muzycy poza salą koncerotwą. Wspaniałe wspomnienia.

Zobacz też:

> W rytmie jazzu. Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki – część 1.

> W rytmie jazzu. Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki – część 2.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie bez zgody wydawcy zabronione.

Chwile zamyślenia



Dziś, 23 lutego 2021 roku, ma miejsce premiera kolejnego, poetyckiego audiobooka przygotowanego przez Beatę Poźniak. Tym razem aktorka czyta wiersze o życiu, przemijaniu i docenianiu każdej chwili, napisane przez Barbarę Bukowską, poetkę z Sanocczyzny. Równocześnie z audiobookiem wychodzi tomik wierszy Barbary

Bukowskiej, opatrzonym wstępem Beaty Poźniak.

> *To nieprawda, że pusty ten świat,*
>
> *Że życie niewiele warte.*
>
> *Chcesz poczuć jego magnes i smak,*
>
> *Chroń czas, by nie szedł na marne.*
>
> *(Z tomiku Barbary Bukowskiej „Chwile zamyślenia”)*

– Czytałam wiersze i biografie niedawno zmarłego genialnego poety Janusza Szubera, który wspominał, że pisał „do szuflady” przez wiele lat – mówi Beata Poźniak. – *Ciekawi mnie ten temat, bo wielu z nas tak działa. Moja krewna Barbara Bukowska przez całe życie pisała o swoim prywatnym życiu, o Mrzygłodzie, Sanoku, rzece San, o miejscach, w których się wychowała, ale właśnie tak, jak wielu innych, odkładała je do szuflady. Pewnego dnia, w twórczym momencie, pełna nadziei, że może jednak te wiersze wyda, przekazała mi je wraz z różnymi zapiskami. Kilka tygodni później, niespodziewanie odeszła (marzec 2018). Bardzo mnie to dotknęło. Przypomniało mi się wtedy powiedzenie: – „if you don’t put it out – you’ll end up taking it with you” (jeśli tego nie wyrzucisz – w końcu zabierzesz to ze sobą). Nie ma Jej już, a*

więc to ja pociągnę Jej twórczą nitkę. Pisząc osobisty wstęp do tomiku „Chwile zamyślenia” przypominam zarówno sobie, jak i innym, żeby się mobilizować i spełniać wszystkie swoje marzenia, póki nasze życie trwa. I doceniać dany nam czas…



Dom, w którym mieszkała Barbara Bukowska w Mrzygłodzie (blisko drzewa), fot. Henryk Poddębski, domena publiczna

Jest to projekt rodzinny. Barbara Bukowska była kuzynką Beaty Poźniak. W projekt został też włączony utalentowany syn aktorki, 19-to letni kompozytor Rylan Pozniak Daniels. Tak był zaintrygowany pomysłem i treścią *Chwil zamyślenia*, że podłożył pod wiersze muzykę. Na końcu audiobooka młody muzyk

zaprasza do zatrzymania się, skupienia i wysłuchania jego kompozycji p.t. *Enlightenment.*

Rylan Pozniak Daniels przez ostatnie trzy lata był stypendystą filharmonii w Los Angeles – LA Phil jako *Young Composer*. Premiera jego utworów miała miejsce w *Walt Disney Hall* z udziałem orkiestry.

Tomik wierszy Barbary Bukowskiej został zilustrowany ręcznymi zapiskami autorki oraz jej ołówkowymi rysunkami, przedstawiającymi m.in. widok z okna w domu w Mrzygłodzie na okolice rynku. Są tam też rysunki jej domu wykonane przez drugą kuzynkę, architektkę Barbarę Ekiert-Walczyńską. Sama autorka wierszy w audiobooku opowiada o swoim domu, kiedy i dlaczego powstał oraz z czego był zbudowany.

“Myśli – najsprawniejsze skrzydła” – wiersz Barbary Bukowskiej z audioobooka „Chwile zamyślenia” czyta Beata Poźniak:

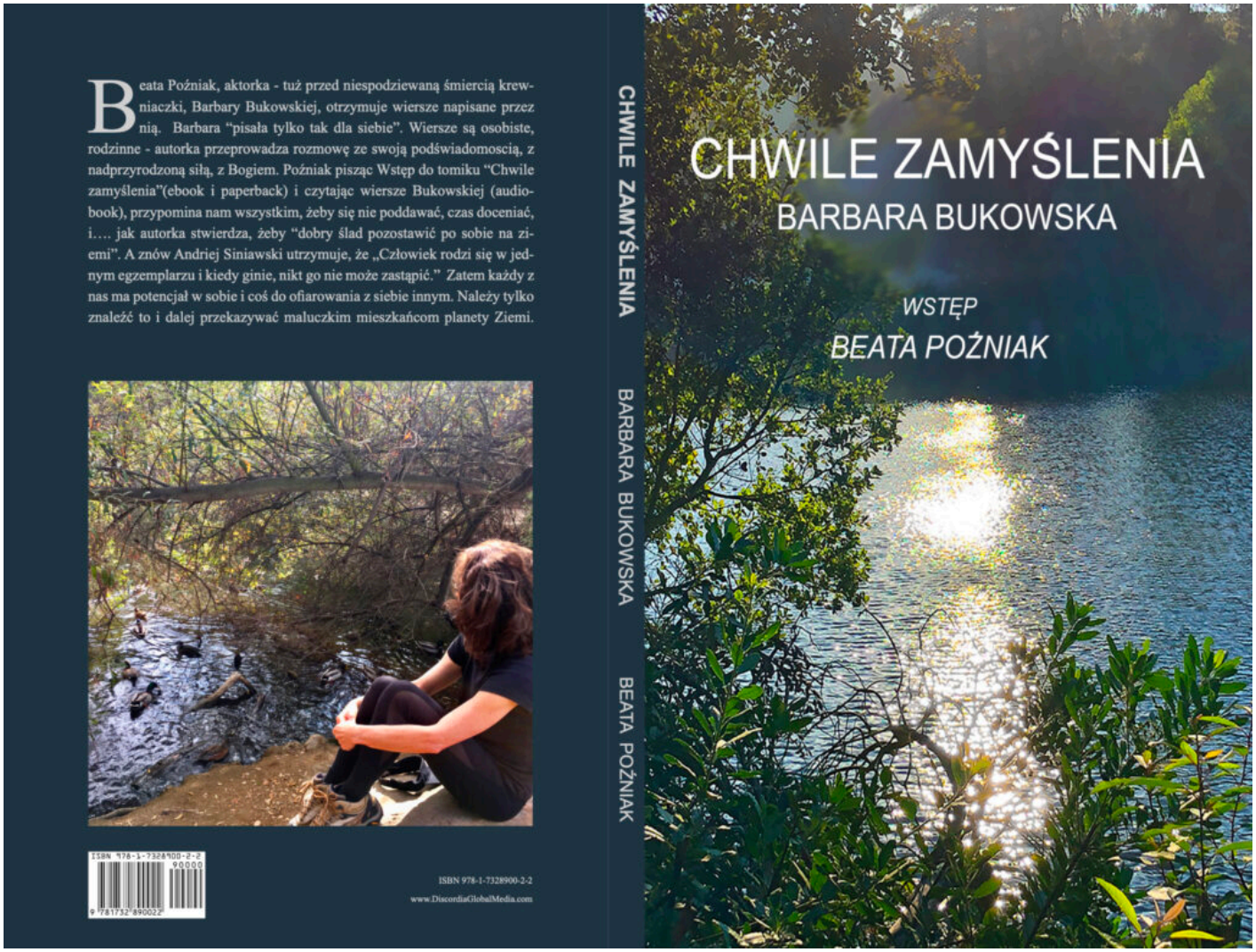
> **W zaświatach**
>
> W zaświatach może być różne życie.
> Może myśli jak duchy się tam zebrały.

Może wśród nich radość wraz ze smutkiem gości. Może inne emocje sobie zbudowały,
Z ziemskiego bytu nie zabrały złości?
Przestrzeń wszechświata — nieograniczona. Epoka jego — także niezmierzona.
By to zrozumieć, jedna głowa mała.
Choć każda wiele dumy ma.
Pokora się rodzi i przypomina:
Życia na ziemi nikt wiecznie nie zatrzyma.
A może myśli zostają jakoś ocalone?
Taka nadzieja niech trwa.

Nie kamyki

Myśli nie kamyki.
Nie leżą spokojnie.
Biegają po zakątkach głowy.
O tym, co było, co dziś i co będzie. Wertują, szukają sensu
I odrobiny szczęścia.
Szukają wszędzie.

(Z tomiku Barbary Bukowskiej „Chwile zamyślenia”)



Okładka tomiku

Audiobook można kupić przez stronę:

https://www.audible.com/pd/Chwile-zamylenia-Moments-of-Reflection-Audiobook/166508880X?fbclid=IwAR2L4MtA6pPNiBf50ZU59lzgsn5H8wDMIC9V3CYFJqyHCp47WBR9HUdx6G0

„Bending Toward the Sun" – wspomnienia matki i córki, to

kolejny audiobook, niedawno wydany przez wydawnictwo Audible, czytany przez Beatę Poźniak i Leslie Gilbert-Lurie:

https://www.audible.com/pd/Bending-Toward-the-Sun-Audiobook/0578782057?fbclid=IwAR1g7uNvaMAkLJFZGidKJAhtaMsSsnY8EJaMAL-YA_cTHwZtgAsY0q1UsJs

---

Zobacz też:

> Droga do nieba

Luty w tradycji i przysłowiach



Kulig, fot. pinterest

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Kilkadziesiąt lat temu lubiłem jako chłopak, potem młodzieniec przeglądać stare roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”, a następnie komplety prenumerowanego przez babcię „Rycerza Niepokalanej”. Duże wrażenie robiły na mnie ilustracje z cyklu „Zima na Wileńszczyźnie”. Przedstawiały zazwyczaj srebrzysty pejzaż zaśnieżonej polany leśnej, pędzące sanie pełne ludzi odzianych w grube futra, a za nimi watahy atakujących wilków. Groza. Groza. Jednak oglądający te sceny nie doznawałem strachu. Oto bowiem zza śnieżnych chmur widać było Matkę

Boską Gromniczną w powłóczystej sukni, zapaloną żągwią odpędzającą groźne zwierzęta. Właśnie drugiego lutego moja babcia wracała z poświęcaną w kościele świecą gromniczną, która przez cały rok miała służyć odpędzaniu zła; jednocześnie towarzyszyła umierającym w ostatnich chwilach życia.

Jak było, tak było. Jedno jest pewne, że w święto Matki gromnicznej zło zostało powstrzymane. Pod Stalingradem armia generała Paulusa została okrążona i dwieście tysięcy niemieckich wycieczkowiczów w ramach akcji „Drang nach Osten” po „lutowej grudzie” leniwie maszerowało do niewoli. Bo przecież luty to nie przelewki. Te prawdy lud polski zna doskonale.

Od stuleci mówiło się w Polsce: „Gdy zbliża się luty, szykuj ciepłe buty”; „Luty miesiąc bardzo zmienny, pół zimowy, pół wiosenny”; „Dzionki mroźne i dni pluty, słowem zwykły miesiąc – luty”. Niektórzy znawcy przysłów dodawali z otuchą: „Gdy mróz w lutym tęgo trzymie, nie popasać długo zimie”. Rolnicy doskwierające zimno najkrótszego miesiąca w roku brali za dobry omen powiadając: „Gdy wiatr ostry w lutym wieje, to chłop dobrą ma nadzieję”.

Przypominam sobie te przysłowia, które – jak powszechnie wiadomo – są mądrością narodu (bo przecież powstały na gruncie długotrwałych obserwacji rodzimego klimatu) i czuję spore zakłopotanie. Teraz luty jest po prostu jakiś niemrawy,

nietypowy, nawet hybrydyczny. Wieczorne gęste opary mgieł, rankami opadają zaledwie lekkim szronem. Za oknami spostrzegam grube, mięsiste pąki bzu i dość bezczelnie wychylające się spod suchych, jeszcze nie zgrabionych całkowicie liści kwiaty ogrodowych prymulek. Zimę obecnie mamy zaszczyt oglądać na ekranie telewizyjnym i to w specjalnym kształcie: oto wspaniale gaje mandarynkowe czy pomarańczowe zasypane śniegiem trzęsą się z zimna (to w Los Angeles), plaże ciepłych mórz świecą pustkami z powodu zadymek, młodzież południowych krańców Włoch, czy Grecji coraz częściej zażywa białego szaleństwa. Nasza młodzież – niestety – spędza „zimowe" ferie na suchych zaprawach narciarskich.

Prawdziwy luty objawił mi się kiedyś podczas kilkudniowego pobytu w Istebnej, Koniakowie i w Jaworzynce. Zaprzyjaźniony ze mną pan leśniczy poinformował rzeczowo, że jesienią spadł śnieg i w wielu miejscach „potrzyma" aż do maja. A właśnie w lutym – odbywa się w lasach prawdziwe owocobranie. Nie dziwię się wcale tej informacji. Już dawno zauważyłem na ścianach dorodnych lasów świerkowych i jodłowych jasnobrązowe pasmo. Są to szyszki, które trzeba bardzo szybko zebrać, zanim w podmuchach cieplejszego wiosennego wiatru otworzą się i wysypią cenne nasiona. Na specjalnych drabinach pracownicy leśnictwa dokonują prawdziwych cudów w zakresie akrobacji. Praca na wysokości jest niebezpieczna – oni są zwinni, mają

doświadczenie.

Dowiaduję się, że obecnie rosnące w tym rejonie drzewa iglaste zostały sprowadzone – dawno, dawno temu – ze Skandynawii. Tam podobno niezbyt chętnie owocowały dając mizerne nasiona. W specyficznym klimacie Beskidów udoskonaliły się, uszlachetniły sypiąc obficie życiodajnymi szyszkami. Obecnie Norwegia i Szwecja chętnie kupuje „materiał siewny", gdyż ten gatunek iglastych doskonale nadaje się na maszty oraz instrumenty muzyczne…

Serpentyny dróg w Beskidach są prawdziwie „lutowo" oblodzone. Samochody kolebią się wolno w wyżłobionych koleinach, których nie potrafi wyrównać nawet najpotężniejszy pług. Zwały śniegu wcześniej zepchnięte z jezdni zalegają na poboczach ponad metrowymi pokładami. Tam się czuje smak zimy i klimat najkrótszego miesiąca w roku…

Cóż my dzisiaj na nizinie, w Zagłębiu możemy powiedzieć o lutym? Nic. Jego prawdziwy obraz możemy znaleźć jedynie w poezji, cytując wiersz Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Królowa Mrozu":

> Oto Królowa Mrozu idzie przez ulicę,

> otoczona przez dziką śnieżycę.
>
> Usta ma blade, zaciśnięte twardo
>
> i kapelusz z zaśnieżoną kokardą –
>
> w ręku list. Czarne słowa na białym papierze,
>
> z których mróz swój początek bierze.
>
> idzie prędko ku rzece. Zamarzłe ma oczy.
>
> Rzeka stanie, gdy Królowa w nią skoczy.

Można wreszcie przywołać fragment utworu poetyckiego Jarosława Iwaszkiewicza „Zima” pełnego wrażeń zmysłowych:

> I oto leżą na wszystkim zasłony.
>
> Z siwego nieba chmurą upadają gwiazdy
>
> Zabite śniegiem. Lecą kracząc wrony.
>
> I sanie gwiżdżą gotowe do jazdy.

Autor „Sławy i chwały” urodził się w Kalniku pod Kijowem 20 lutego 1894 r., a więc w lutym. W swojej twórczości nie tylko snuł refleksje nad losem jednostki i dziejami społeczeństw, ale bezustannie zastanawiał się nad upływem czasu. Opisując pejzaż ziemi i nieba charakteryzował mijające lata, przechodzące pory roku i poszczególne miesiące. Symboliczne jest to, że – tuż przed śmiercią – planował tom małych form prozatorskich „Kalendarz”. Z dwunastu zamierzonych utworów napisał tylko jeden: „Dzień lipcowy”.

Czas formuje i czas niszczy…

_____–

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

> Styczeń w historii, literaturze i sztuce

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.



Czesław Miłosz w Berkeley, fot. A. Lizakowski

Adam Lizakowski *(Chicago)*

List 25

Dużo spacerujesz po Chicago, opisz jakąś dzielnicę.

> **P**isałem już o ulicy Milwaukee, Archer, Belmont, Michigan, Fullerton, na której mieszkam, Logan Square, pisanie o bogactwie tych dzielnic jest nudne, tak samo jak o biedzie, która wszędzie jest taka sama. Tak, bywam w różnych dzielnicach, których mieszkańcy mają różne filozofie życia,

choć te same pragnienia, zdrowia, szczęścia i bogactwa.

Potrzebne są mi dzielnice chicagowskie, potrzebna

jest mi przestrzeń do oddychania i czucia poezji

najbardziej odpowiada mi chicagowska preria

spod Juliet i Aurory, tam czuję się dziko i swobodnie,

ale ty pytasz o dzielnice, więc może Golden Coast

o której pisał Carl Sandburg a jedną z ulic nazwano

na jego cześć, są tam najpiękniejsze i najbogatsze

domy nowobogackich sprzed stu lat, tam się jeszcze

czuje krew mordowanych zwierząt i pot emigrantów,

chociaż wszystko jest już od dawna wyperfumowane

i wyczyszczone na cacy, łazienki są marmurowe,

a schody mahoniowe, w domach pachnie nie tylko

marzeniami, ale i starością, która lubi wygodę,

komfort i przestrzeń, mieszkania są wysokie,

dobrze oświetlone, przez przezroczyste szyby

można zobaczyć jak milionerzy mają urządzone pokoje

właściciele jakichś domów w mieście czy wielkich

udziałów na giełdach, można się skryć za pień dębu

i pomarzyć: mieć taki dom w takim miejscu

sto jardów od jeziora, taką żonę,

taki luksus śniadania podanego do łóżka,

taką bibliotekę z dużym kominkiem w takim domu,

w którym służący włoży zakładkę w książkę,

gdy ociężała głowa w sen zapadnie.

Czesław Miłosz *1911-2004* **[10]**

Żył w Ameryce, żył przez cztery dekady, ale nigdy nie czuł się Amerykaninem, ani też nigdy tak naprawdę nie rozumiał i nie patrzył na Amerykę jak jej obywatel. Przez cały okres pobytu na kontynencie amerykańskim (a był tu dwukrotnie, pierwszy raz zaraz po wojnie, a drugi rozpoczął się w 1960 r.), pisał o Ameryce jak Europejczyk. Ameryce zawdzięczał wiele, ona go karmiła i stworzyła, zapewniła mu pracę i godziwe życie. Lecz ani w Berkeley na uniwersytecie, na którym dostał pracę, ani w innych miejscach w Ameryce, nikt nie wiedział. że jest poetą i piszę niezrozumiałe wiersze w jakimś mało znanym języku, a cóż dopiero, że jest wybitnym poetą. Natomiast widziano, że jakimś cudem bez wykształcenia, bo nie miał doktoratu, został wykładowcą akademickim na jednym z najlepszych uniwersytetów w Ameryce i to, że w Europie klepał biedę, że jest uciekinierem ze Wschodniej Europy, a gdzie to jest to dokładnie mało kto wiedział. I tak do końca nie było wiadomo kim jest, bo raz dawał do zrozumienia że jest Litwinem piszącym po polsku, a raz, że jest Polakiem, ale polskość to sprawa, którą nie można się chełpić, więc lepiej o niej nie mówić. Poeta doskonale wiedział, że Amerykanie, naród ludzi silnych i dumnych, dla których liczy się tylko ten najlepszych, najszybszy i najbogatszy, nie ma „ucha ani cierpliwości” wysłuchiwać biednych Polaków, którzy po raz kolejny stracili swoją ojczyznę, niby wygrali wojnę, ale jej nie wygrali. Miłosz wiedział, że u Amerykanów nie znajdzie ani sympatii, ani współczucia jako „biedny Polak”, bo

mówiąc językiem sportowym, dla nich liczy się tylko złoto, czyli pierwsze miejsce, i kto by tam pamiętał o drugim, czy trzecim miejscu, podczas gdy Polacy pamiętają nawet kto był dziesiąty czy dwudziesty piąty.

Mówienie o swoich klęskach, czy pokazywanie ran Amerykom, nie wzbudzanie u nich wspomnianej już sympatii, ale lekceważenie, czy nawet niechęć do obnażającego swoje rany. Sprzedali Polskę Stalinowi i doskonale o tym wiedzieli, a wszelkie domagania się Polaków, to jest Polonii amerykańskiej o pomoc, na forum amerykańskiej opinii publicznej, mijało się z celem. Dla Amerykanów nie ma „pojęcia, ani geograficznego, ani kulturalnego czy też politycznego – Polacy”, oni mówią o Polakach jako o East European, czyli Wschodni Europejczycy. Jeszcze nie zasłużyliśmy na to, aby nazywano nas Polakami, ani w żaden sposób nie zdobyliśmy ich sympatii, aby nazywali nasz kraj Polska. Jedynie Rosjanie mają pełna aprobatę Amerykanów i ich kraj nazywa się Rosja, jej mieszkańcy to Rosjaninie, ich literatura jest rosyjską, a ich poetów nazywają rosyjskimi poetami.

Czesław Miłosz z Paryża, jak już zostało napisane, trafił do Berkeley w 1960 roku, z jednej rzeczywistości do drugiej, z jednego terytoriom literatury na drugie. W nim nie będzie miał tyle swobody jak w Europie, ale to wbrew pozorom ułatwi mu znalezienie nowego rozwiązania i pomysłu na siebie. On po

prostu wymyśli lub znajdzie formułę tłumacza/profesora/poety, stworzy amerykańskiego Czesława Miłosza. W Ameryce podejmie tematykę swojej małej ojczyzny, Europy, istnienia człowieka na tym małym skrawku ziemi, jego cierpienia i samotności w świecie, wszelkie uwikłania w historię najnowszą, dokonywania wyborów życiowych ludzi, za których tego wyboru dokonał Józef Stalin. To o wiele bardziej będzie zaprzątać mu umysł niż narodziny *beatników*, wiersze hippisów z pobliskiego San Francisco (z drugiej strony zatoki), działalność jednej z najważniejszych księgarń i wydawnictwa w Ameryce – City Lights Bookstore, której właścicielem był poeta, *beatnik* Lawrence Ferlinghetti. Jego wędrówki literackie będą w inne rzeczywistości, odbywać się będą innymi ulicami, jemu będą potrzebne inne świadectwa literackie, on ledwo spojrzy na młodzieżą amerykańską i jej fascynację kulturą dalekiego wschodu, medytację, piosenki/ ballady i pieśni Boba Dylana i innych.

Poetę Ginsberga nazwie „nieszczęśnikiem”, a jego wiersze i wiersze Dzieci Kwiatów, śmierć króla Rock & Roll’a Elvisa Presley’a, będą poza jego zainteresowaniem. On chcę być amerykański, ale na swój sposób, jego Ameryka musi spełniać jego wyobrażenia przywiezione z Europy, ale ona ich nie spełnia, pokazuje swoje amerykańskie oblicze, które intelektualiście europejskiemu nie odpowiada.

W listach do Marka Skwarnickiego, na którego będziemy się tutaj jeszcze kilka razy powoływać, poeta pisał:

> A zatem Ameryka jako tymczasowe obozowisko, upiorne miejsce spełnionych proroctw Witkacego, świat bez historii, kraj „duchowej nędzy" odludnych stanów, gdzie jedyną kulturalną rozrywką tubylców jest gapienie się godzinami na przejeżdżające auta, picie, albo strzelanie z pistoletu z auta do mijanych znaków drogowych.

Miłosz więcej o Ameryce pisał w swojej prywatnej korespondencji niż w esejach o Ameryce, żył tworzył w zupełnie innych obszarach istnienia, był od tych młodych ludzi, Amerykanów mentalnie zupełnie inny, i niewiele go z nimi łączyło, ani nie żył ich problemami, ani nie wdawał się z nimi w dyskusję, tym bardziej nie przeżywał tego wszystkiego tak jak oni. On miał swoich dyskutantów w Europie, żył w swoim polskim/europejskim mieszczańskim, profesorskim „nudnym świecie", w którym wprawdzie dużo się działo i dramatów, i rozterek rodzinnych/osobistych, których nie brakowało, ale Ameryka w której żył była za szybą. Przez nią oglądał świat w którym było mu dane żyć, „nudę amerykańską" przekuwał na ciężką harówkę, bo pisanie jest niewyobrażalnie ciężkim zajęciem. Życie poety, kosmity Miłosza w Kalifornii było bardzo tradycyjne w sensie amerykańskim, praca od rana do wieczora,

(korespondencja, praca twórcza, wykłady) oraz myślenie o Europie i Polsce, tak jak to robią emigranci, ze wszystkich stron świata.

Korespondencja z przyjaciółmi w języku polskim i rozmowy w języku polski, to zabierało poecie lwią część jego życia w Ameryce. Europa która teoretycznie powinna być na drugim końcu świata praktycznie była tuż „pod nosem” na wyciągnięcie ręki, leżała na biurku pod oknem, i „skrywała się” w książkach na półkach stojących pod ścianą. Wyjazdy na weekendy, wypady na łono przyrody, oglądanie Ameryki od strony gór, oceanu, pustyni, prerii to też patrzenie na nią i opisywanie językiem i okiem Polaka, bo przeważnie wyjeżdżał z rodziną lub przyjaciółmi, z którymi rozmawiał tylko i wyłącznie po polsku. Trzeba dodać, że więcej wiedział od Amerykanów o miejscach, które odwiedzał, albo w szczególny sposób upodobał sobie, ale ta wiedza nie czyniła go Amerykaninem.



Czesław Miłosz przy swoim biurku w Berkeley, fot. A. Lizakowski

W porównaniu choćby z życiem wspomnianego już poety wydającego swoje książki w City Lights Bookstore, Allenem Ginsbergiem, który żył Ameryką i tym wszystkim, co się w niej działo. Nazwisko największego poety Ameryki drugiej połowy XX wieku Allena Ginsberga w „Widzeniach" pojawia się tylko raz, w rozdziale piętnastym pt. „Wizerunek bestii", na samym początku poematu „Howl", a w nim Moloch*, którego ucho dymiący grób!*. Rozdział rozpoczyna się zdaniem *Allen Ginsberg skandując swoją na odwrót – whitmanowską pieśń był Każdym.* (s.58.) Słowo „Każdym" z dużej litery. Miłosz lubił Ginsberga za jego Whitmanowską postawę, ale nie cenił jego działań, bo uważał, że

taka postawa służy bardziej anarchii niż sprawie, którą Ginsberg reprezentował. Nie jest to pochlebne zdanie o poecie, który podporządkował swoje życie poezji, podobnie zresztą jak i poeta, profesor, kosmita Czesław Miłosz. Jak już wspomniano obaj poeci są na dwóch różnych biegunach osobowości; Ginsberg szaleństwa w tym co robił, a Miłosz w spokoju mieszczańskiego z dystansu patrzący na Europę i Amerykę. Ginsberg zarośnięty, brodaty błazen Ameryki, gorączkowo gestykulący rękoma i Miłosz wygolony, ułożony, wyważony uczony, profesor uniwersytecki. Nic ich nie łączy, a jednak poeta wileński cytuje go, bo widzi w nim zmiany zachodzące w Ameryce, widzi w nim Walta Whitmana XX wieku. Ten *Moloch, którego duszą elektryczność i banki!* Ten kraj pieniądza „Złotego Cielca" właśnie poprzez poezję i poetów takich jak Ginsberg zamienia się lub zmienia Amerykę w miejsce, gdzie kultura i sztuka, poeci i artyści będą mieć znaczenie. Nigdy wcześniej, ani później nie było tylu ludzi piszących i czytających poezję jak za czasów „dzieci kwiatów", o których pan Czesław właściwie nie pisze.

> **Miłosz**
>
> Mógłby być górskim wodospadem
>
> nigdy pustynią czy ziemią jałową

wielkim jagiellońskim dębem w cieniu którego

umęczony wędrowiec zawsze znajdzie wytchnienie

potrafił z powietrza wyłapać bąbelki życiodajnego tlenu

nasycić nim poezję, słowa jego są jak ziarna

które w czytelniku rosną, rozwijają się, kwitną

kołyszą się łany czekając na rękę żniwiarza,

jest księżycem, który przyciąga fale morza

a piękne kobiety śpią niespokojnie,

jest aniołem z wielkimi krzaczastymi brwiami

w kształcie skrzydeł ptaka spłoszonego

w środku nocy z gniazda do którego nigdy już

nie powróci, ale wciąż pamięta zapach trawy

jabłek, biel pokoi, kształty domów, jeziora, rzeki

jest litewskim niedźwiedziem mieszkającym

w pięknym mieście Berkeley

w cudownej Kalifornii, na wzgórzu niedźwiedzi Grizzly

ale on nie pomrukuje, on śpiewa pieśń o tym

że nikomu nie warto zazdrościć, o kolibrach

kwiatach kapryfolium, dziewczęcych pośladkach

biednym chrześcijaninie patrzącym na płonące getto

o miastach do których nigdy nie wróci, tobie i mnie.

Kim jest Miłosz dla mnie tysiące razy pytałem siebie?

matką karmiącą jasną dorodną piersią

z cienkimi niebieskimi żyłkami

której życiodajne mleko piję w upale chicagowskim.

Jakie jest znaczenie jego poezji w mym życiu?

czy to bilet w podróż do dalekich krajów,

do lasów tropikalnych w których wielobarwny

śpiewak skacze z gałązki na gałązkę

wyśpiewując pieśń starodawnych puszcz

rzek, piasek pustyń wygrzewa się w słońcu

a skały z lekkością motyli uniosły się w przestrzeń

ku dalekim galaktykom, gdzie czas płynie pionowo.

Miłosz muza żyjąca w cieniu eukaliptusów z widokiem

nad Zatokę San Francisco, mieście wielkości mrówki,

którego światła odbijają się w wodzie, jak obłoki,

poeta wierny swoim ideałom młodości,

nadsłuchuje gry świerszczy, patrzy

w jasno-żarzące się ślepia aut, o czym myśli?

> W 1990 roku zapytałem go o to przy wódce i śledziach,
>
> słońce w Zatoce już się utopiło, a noc na atramentowo
>
> pomalowała czubki złotego mostu:
>
> Och!!! Panie Adamie ?westchnął, gdyby tak się dało
>
> dożyć do setki, a potem raz jeszcze licznik cofnąć do zero.
>
> (ADAM LIZAKOWSKI, WIERSZ O CZESŁAWIE MIŁOSZU)

Zbigniew Herbert [11]

Krótkie wyjazdy Polaków często związane były z handlem rzadkimi na Zachodzie dobrami, co pozwalało na przetrwanie paru dodatkowych dni podróży. Nierzadko Polacy jadący na Zachód obładowani byli konserwami, suchą kiełbasą (zwłaszcza kabanosami!), nie mówiąc już o innych niepsujących się wiktuałach, umożliwiających zmniejszenie wydatków na żywność. Ówcześni polscy pisarze mogli uczestniczyć w międzynarodowych zjazdach – zwłaszcza za oceanem – jedynie za pieniądze gospodarzy, a często wiązało się to także z poniżającymi sytuacjami, jak handel drobnymi towarami lub przynajmniej rewanżowaniem się „polskimi prezentami". Herbert wspomina o tym procederze mimochodem i żartobliwie, pisząc

do Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego w drodze do Nowego Jorku:

> W tej chwili znajduję się w samolocie w drodze do Nowego Jorku. Na dole coś niebieskiego. Pytałem stewardessę, co to takiego, powiedziała, że „ołszen” pewnie Atlantycki, ale ja już teraz niczemu nie wierzę, bo Amerykanie to kupcy, a jak poczują rolnika znad Wisły, to chcą go ograbić. Więc sprawdzam co chwilę woreczek na piersiach i parę wianków suszonych grzybów, które w Buffalo są za cenę złota. Tak mówił [nazwisko nieczytelne] Przyboś i Stępień.

> Oj mili, moi mili. Jadę grosza trochę uciułać. Nowojorska Centrala Poetów organizuje taki cyrk, więc będę łykał ogień, sztangą liryki narodowej nad głową potrząsał, a jak trzeba, to na konie siędę i krwi utoczę. Alić krew, którą toczyć bym chciał – daleko[1].

Wzmianka o suszonych grzybach, tradycyjnie zawożonych na handel lub prezenty do Stanów, jest raczej tylko żartem, gdyż po dwóch latach pobytu w Europie Zachodniej Herbert raczej nie mógł mieć już zapasów tego cennego towaru. Natomiast wspomnienie nazwisk dwóch współpasażerów sugeruje, że poeta

referował handlowe rozmowy kolegów, a poza tym całą scenę aranżuje w konwencji sprawozdania z podróży za chlebem. Dodajmy, że Herbert podczas swojego pierwszego wyjazdu do Ameryki raczej niewiele zaoszczędził, ponieważ – jak zwykle – podróżował, zwiedzał muzea i biblioteki[2], a po drugie – też tradycyjnie – nakupił książek, które „małymi paczkami trzeba słać do Europy”[3].

Dziś każdy jako tako zarabiający człowiek może sobie pozwolić na wycieczki, które dla poety były ogromnie kosztowne. Na podróże i pobyt na Zachodzie przeznaczał tantiemy z przekładów, a także dorywczych prac redaktorskich i translatorskich. Na szczęście otrzymał wszystkie możliwe nagrody literackie Europy i Ameryki (z wyjątkiem Nobla), a także przyznawano mu zachodnie stypendia. Herbert opowiada o przerażeniu jego izraelskich przyjaciół, kiedy niemal całą nagrodę miasta Jerozolimy (a była to znaczna suma) wydał na podróż po Ziemi Świętej. Nie oszczędzał na spokojne życie, tylko inwestował w siebie, w swoje wrażenia, w pasję poznawania świata i w książki. Jako materiał literacki, procentowały wierszami i esejami. Właściwie tylko wyjazd do USA służył inwestycjom krajowym (gdzie na kalifornijskim uniwersytecie stanowym pracował jako *visiting professor*), to znaczy zgromadzone środki zostały przeznaczone na zakup mieszkania. Mógłby przywieźć więcej pieniędzy, ale – mimo rad Artura Międzyrzeckiego – na profesorskiej posadzie wytrzymał tylko rok

[4].

PS.

Można więc przypuszczać, że na nędzne utrzymanie podczas pierwszego wyjazdu Herberta na Zachód wystarczyło na przykład pięć dolarów dziennie, czyli że za stypendium ministra można było przeżyć aż trzy tygodnie. Jest to oczywiście wartość bardzo mocno przybliżona.

Przypisy:

[1] *Zbigniew Herbert – Julia Hartwig – Artur Międzyrzecki. Korespondencja,* red. M. Zagańczyk, Warszawa 2012, s. 53.

[2] Stąd wzmianka na temat projektowanego szkicu o jednorożcu. W przypisach czytamy, że „Herbert pracował nad szkicem o przechowywanej w Musée de Cluny w Paryżu XV-wiecznej tkaninie *„Dama z jednorożcem”* (Tamże, s. 214). Wzmianka w liście pisanym z Nowego Jorku wskazywałaby także na zainteresowanie poety tkaninami przechowywanymi w The Cloisters Museum (oddział nowojorskiego Metropolitan Museum of Art na górnym Manhattanie), gdzie znajduje się seria siedmiu tkanin przedstawiających polowanie i schwytanie Jednorożca

– *The Hunt of the Unicorn* (Bruksela, około 1500 roku).

[3] Tamże, s. 58.

[4] Tamże, s. 71.

Herbert prowadził zajęcia (od 21 października 1970 roku do 15 czerwca 1971 roku) ze współczesnej poezji europejskiej i dramatu na uniwersytecie stanowym (School of Letters and Science California State Collage w Los Angeles). Wykłady te omawia Maciej Tabor w szkicu *Tradycja poezji europejskiej w wykładach Zbigniewa Herberta w California State College* [w:] *Dialog i spór. Szkice o twórczości Zbigniewa Herberta*, red. J.M. Ruszar, Lublin 2006.

Zakończenie



Chicago, fot. A. Lizakowski

Przeżycia osobiste opisanych przez nas osób, wybitnych Polaków w pewnym stopniu powinny oddać posmak i charakter Ameryki z przełomów XVIII w i XIX oraz tej z przełomu XIX i XX wieku. Wiele spostrzeżeń sprzed dwustu czy stu lat wciąż jest aktualnych. Wiele motywów wyjazdu z kraju, opuszczenia go jest wciąż mino upływu tak wielkiego czasu bardzo podobna. Podobne są też początki i kłopoty adopcyjne. Najpierw jest wielka chęć wyjazdu za wielką wodę, szukanie tam jakby ratunku od problemów codzienności we własnym kraju, wiara, że tam będzie lepiej. Po przyjeździe następuje stres, rozczarowanie, jakiś wewnętrzny ból, i dla wielu przekonanie, że jednak dokonali złego wyboru, powinni zostać u siebie. Zbyt wielkie widzą

różnice, może nawet przeżywają szok kulturowy. Mijają najpierw miesiące i lata emigrant staje się coraz bardziej „odporny na Amerykę” osamotnienie, zostaje zastąpione pracą, ciężką pracą na dodatek mało płatną która pochłania większą część życia.

To co wydawała się na początku poprzestawiane do góry nogami w tej Ameryce z czasem zdaje się mieć sens. Dwa wojujące ze sobą światy, dwie kultury, dwa jakże różne spojrzenia na Amerykę i na to, co pozostało z drugiej strony oceanu, z czasem zaczyna łączyć się w jedną całość. Emigrant już nie jest tą samą osobą, którą był jeszcze kilka lat wcześniej doskonałym dowodem tego jest Helena Modrzejewska na jej przykładzie można łatwo zaobserwować zmiany jak wciągu kilku lat stała się innym człowiekiem.

***

Przełom wieków XIX i XX to wielki rozwój polskości w Ameryce, bez byłych Powstańców i wielkiej rzeszy chłopstwa – prawie że masowego polskiego osadnictwa w Ameryce – nie byłoby ani polskich parafii, ani tak wielu, wielu kościołów, w samym Chicago ponad dwadzieścia. Jednak nie poeci, pisarze czy literaci, nie żołnierze czy patrioci odegrali główną rolę w powstaniu Polonii amerykańskiej, ale właśnie księża, duszpasterze, bez nich polskość w Ameryce na początku XXI

wieku, trudno sobie nawet wyobrazić. Dla przybywających Polaków w drugiej połowie XIX wieku do Nowego Świata ważnym motywem był patriotyzm — tak, wielu Polaków przyjeżdżało tu budować nową Polskę i tu organizować pomoc staremu krajowi, nawet wojsko, dla wyzwolenia kraju z niewoli zaborów, jak np. Błękitna Armia generała Hallera. Była też chęć służby poprzez ewangelizację — wystarczy z setek duszpasterzy, budowniczych kościołów Polonii wymienić tylko kilku z nich ks. Moczygęba, ks. Pitas, o. Justyn, Wacław Kruszka i wielu, wielu innych). Bez nich wśród rozrastającej się Polonii niepiśmiennej, oni umieli pisać i czytać po polsku i po angielsku. Bez tych ludzi całkowicie oddanym pracy społecznej nie byłoby polskich szkół sobotnich. Polskie gazety miałyby o wiele trudniejsze początki. Gazeta codzienna „Dziennik Związkowy" najstarsza polskojęzyczna gazeta codzienna w USA, powstała w styczniu roku 1908 jako organ Związku Narodowego Polskiego (ang. *Polish National Alliance*, w skr. PNA) i od tego czasu wychodzi nieprzerwanie, będąc tym samym najstarszą polskojęzyczną gazetą na świecie wydawaną bez przerwy. W niej przez wiele lat publikowałem swoją twórczość, a przede wszystkim mogły na jej łamach ukazywać się recenzje moich kolejnych książek pióra nieodżałowanego redaktora dwutygodnika „Zgoda" Wojciecha A. Wierzewskiego oraz dziesiątki recenzji ze spotkań i wieczorów autorskich członków mojej grupy poetyckiej „Niezapłacony Rent", która działała w Chicago na początku lat 90. ubiegłego wieku.



Adam Lizakowski (z prawej) i Wojciech A. Wierzewski (1941-2008) – literaturoznawca, krytyk filmowy, nauczyciel akademicki, publicysta, fot. arch. A. Lizakowskiego

***

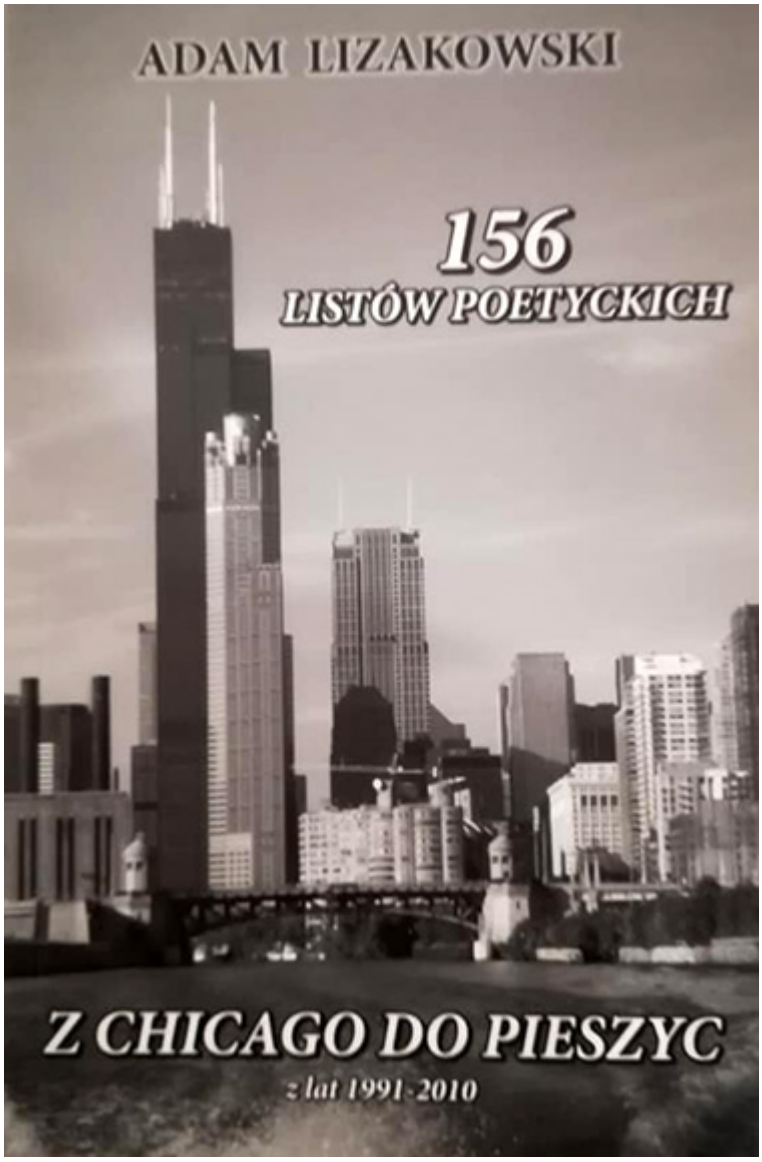
Nie byłoby dzisiaj Polonii amerykańskiej, tylu Amerykanów polskiego pochodzenia, gdyby nie emigranci z powstań narodowych w XIX wieku. Prawdopodobnie nie byłoby takiej Polonii amerykańskiej w Chicago czy w Nowym Jorku jaką mamy dzisiaj, gdyby nie zabory, nędza i głód, niechęć wielu młodych Polaków do służby w armiach zaborców. Wiek XX także „dopomógł” odbudować Polonię amerykańską, najpierw

niefortunne dla Polski i Polaków zakończenie II wojny światowej, a cztery dekady później napływ emigrantów na fali solidarnościowej spowodowany wprowadzeniem przez generała Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego i jego dalsze konsekwencje. Wiek XXI może przynieść dalsze zmiany. Po zniesieniu wiz dla Polaków można już mówić o zupełnie innej polskiej Ameryce, która już nie jest celem marzeń za lepszym i wygodniejszym życiem, ale celem podróży i poznania tego wielkiego kraju od strony turysty, a nie wiecznie głodnego i biednego emigranta za chlebem, panie, za chlebem…

Chicago, 2010 r., Pieszyce 2021 r.

Źródła:

List 25 pochodzi z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „**156 Listów poetyckich z Chicago do Pieszyc**„, wydanego przez Urząd Miasta i Gminy Pieszyce w 2012 r.



[10] Adam Lizakowski – Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?, Helikopter, 10/2018.

Czesław Miłosz (ur. 1911 r. na Litwie, zm. 2004 r. w Krakowie), polski poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz, dyplomata; w latach 1951–1993 przebywał na emigracji, do 1960 we Francji, następnie w Stanach Zjednoczonych. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1980); profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i Uniwersytetu Harvarda; pochowany w Krypcie Zasłużonych na

Skałce; Uznawany za najwybitniejszego polskiego poetę XX wieku.

[11] Zbigniew Herbert. Materiał podchodzi z portalu nowynapis.eu.

Zbigniew Bolesław Ryszard Herbert (ur. 1924 r. we Lwowie, zm. 1998 r. w Warszawie), polski poeta, eseista, dramaturg, twórca cyklu poetyckiego „Pan Cogito”, autor słuchowisk; pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego. Z wykształcenia ekonomista, prawnik i filozof.

Laureat ponad dwudziestu nagród literackich. Od końca lat 60. XX w. był jednym z najpoważniejszych pretendentów do Literackiej Nagrody Nobla. Jego książki zostały przetłumaczone na 38 języków.

Cześć 1:

> Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Zobacz też:

> Klerk mężny. Wspomnienie o Zbigniewie Herbercie (1924-1999).

> Miłosz w Wilnie oczekiwał cichego pobratymstwa